Cena egzemplarza wynosi
Mkp.

Nr. 2.

ROCZNIKI
OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ
Św. WINCENTEGO a PAULO.

ROK XXIV.

KRAKÓW.
Wydawnictwo i nakład Księży Misjonarzy.
1922.

TREŚĆ ZESZYTU 2.

KRONIKA.

WSPOMNIENIA POŚMIERTNE.

Majątek Domu św. Krzyża w Warszawie w r. 1864.

(Dokończenie).

W spisie urzędowym skonfiskowanych Misjonarzom dóbr figuruje dalej pod L. 5 znany bardzo w historji Warszawy folwark Świętokrzyski (od placu św. Aleksandra do rogatek Jerozolimskich. Folwark ten zbudowany był na włóce zwanej szeroką, ważną ze względu na rozwój terytorjalny Warszawy [1]). Pisze o niej ks. Jan Aumont [2]) ks. Andrzej Pohl [3]) i ks. Symonowicz [4]) w słowach następujących: „Ta włóka kupiona była przez Zgromadzenie w r. 1678 od Ojców Paulinów warszawskich za sumę 14.000 złotych. Była niegdyś obszerniejsza aniżeli jest teraz (r. 1820), gdyż część jej jedną nabył od nas ks. Giza, który ją potem darował OO. Paulinom warszawskim, drugą jej część przez zamianę nabył książę Sułkowski, trzecią jej część, na której znajdowała się wielka cegielnia, odstąpiono miastu Warszawie, inne nareszcie części jej sprzedane zostały księciu Kazimierzowi Poniatowskiemu, panom Merliniemu i Słomińskiemu.

W r. 1745 zbudowali Misjonarze folwark na tej włóce [5]) ku rogatkom Jerozolimskim, założyli wielki ogród warzywny

---

[1]) Por. Rozwój terytorjalny miasta Warszawy przez Witolda Matcużyńskiego, księg. Wende i Sp. 1900, plan Nr. 2, l. 4.

[2]) Historia Congr. Missionis in Polonia n. 33.

[3]) Continuatio descriptionis status Domus Varsaviensis S. Crucis ab a. 1735 usque ad a. 1782 (rękopis) n. 10.

[4]) Continuatio descriptionis status Domus Varsaviensis C. M. ad S. Crucem, str. 31 (rękopis).

[5]) Włóka = 30 morgom = 167 hekt.

i owocowy, niedaleko zaś od ulicy Marszałkowskiej postawili cegielnię, którą w r. 1793 dla braku gliny rozebrano, inną za ogrodem wprzód wybudowawszy. Ta w r. 1794 w czasie oblężenia przez Polaków i Rosjan Warszawy, spaloną została. Po jej powtórnem wystawieniu, znowu ją Austrjacy w r. 1809 rozebrali i spalili. Ta, która teraz egzystuje, w r. 1816 wybudowaną została (i wreszcie wedle dopisku, ostatnia cegielnia przed kasatą postawiona w r. 1853). Wypala się w niej rocznie cegły, nie rachując dachówki i innych sztuk budowniczych, około 150.000. W r. 1807 wzięto 65.000 cegły do wystawienia piekarni dla wojska francuskiego. Część włóki pomienionej przyległa folwarkowi corocznie się obsiewa aż do ulicy Marszałkowskiej. Wysiew zwykł być następujący: żyta korcy 24, pszenicy korcy 5, jęczmienia korcy 6, owsa 5 i siana fur 5. Ogród przyległy folwarkowi trzymało dotąd na siebie Zgromadzenie, lecz ponieważ nader mały dochód przynosił i oprócz warzywa na domową potrzebę wziętego, reszta na utrzymywanie czeladzi ogrodowej obracaną zostawała, umyślono w r. 1820 wypuścić go w sześcioletnią dzierżawę pod pewnemi warunkami z obowiązkiem płacenia z niego corocznie 3000 złotych. Dzierżawcą w czasie niniejszym jest p. Gołaszewski.

W tym ogrodzie znajduje się pszczelnik z 24 ulów składający się. Wosk zebrany, obraca się na potrzebę kościelną a miód sprzedaje się.

Zabudowania w pomienionym folwarku są następujące: a) Dom dla czeladzi drewniany, stary z kominem murowanym, dachówką pokryty, b) spichrz murowany z piwnicami murowanemi. W r. 1817/18 umieszczeni w nim byli więźnie, około drogi zwanej Aleksandra, pracujący. Przy nim była dawniej oranżerja, wiele roślin, krzewów i drzew zagranicznych w sobie zawierająca; ta w r. 1794 zrujnowana, rozsprzedaną została, c) stodoła drewniana, d) obora drewniana, spichrz drewniany, wozownia, chlewki itd.

Reszta pomienionej włóki szerokiej, nie zajęta folwarkiem, ogrodem, cegielnią, cmentarzem parafjalnym i kościo-

łem przy nim będącym od ulicy Marszałkowskiej ku ulicy Nowy Świat ciągnąca się, podzielona jest na place jeszcze w r. 1767 różnym obywatelom na czynsz roczny, pod pewnemi warunkami wypuszczone". Tyle ks. Symonowicz o folwarku świętokrzyskim. Takie wydzierżawianie na wieczne czynsze ziemi różnym ludziom nazywało się wedle prawa polskiego z XVIII w. emfiteuza [1]). Takich emfiteutów na swych gruntach w Warszawie (dziś ulice: Elektoralna, Chłodna, Wolska, Orla, Solna, Biała, Żelazna, Ogrodowa, Wronia, Leszno itd.), mieli dawni Misjonarze około 150. Dokładne ich spisy z obowiązkiem uiszczania odpowiednich czynszów, do dziś mamy zachowane.

Folwark Świętokrzyski figuruje w księg. hip. pod L. 1600A i 1700B. Jeszcze przed kasatą w piśmie ks. Stanisława Wojny, prokuratora causarum, z dn. 3 lipca 1862 r. wystosowanem do magistratu stoł. m. Warszawy, udowodniło Zgromadzenie własność tego terytorjum nabytego od OO. Paulinów w r. 1678, a według pisma wizytatora ks. Dmochowskiego z dn. 17 kwietnia 1864 folwark miał 83 morgi i 78 prętów stanowiących niezaprzeczalną własność Zgromadzenia Ks. Misjonarzy [2]). Widoczną było rzeczą, że jeszcze znacznie przed dokonaniem kasaty Zgromadzenia, zwrócił rząd rosyjski pożądliwe oczy na własność Zgromadzenia.

Po kasacie też, komisja dla spraw duchownych na posiedzeniu z dn. 5/17 kwietnia 1866, powołując się na decyzję Komitetu urządzającego Królestwo Polskie, na mocy uchwały 117 posiedzenia z dn. 10 lutego 1866 r., zatwierdzającej podział dóbr poklasztornych, zarządza odnośnie do folwarku Świętokrzyskiego [3]):

1) Do kościoła znajdującego się na cmentarzu Świętokrzyskim, który projektuje się zamienić na parafjalny, wy-

---

[1]) Por. Zarys Prawa Polskiego, Dr. Przemysław Dąbkowski, str. 238.

[2]) Odnośna korespondencja znajduje się w archiwum m. Warszawy w aktach folwarku Świętokrzyskiego.

[3]) Archiw. m. Warszawy, akta p. t. „Folwark Świętokrzyski".

dzielić z folwarku Świętokrzyskiego z ogólnej przestrzeni 78 morgów 178 prętów, część oznaczoną na planie literami c, m, n, f, tj. 4 morgi 102 pręty albo 5337 sążni kw.

2) oddać na rzecz zakładów dobroczynnych, a mianowicie dla urządzenia domu podrzutków część terytorjum folwarku Świętokrzyskiego, na którem są budynki folwarczne i ogród ogólnej przestrzeni 14 morgów 41 prętów, a na zbudowanie nowego gmachu Dzieciątka Jezus oddać przestrzeń powierzchni 9 morgów 8025 prętów.

3) reszta przeznaczona na nowe ulice i place.

Dziś więc, na podstawie przeprowadzonych projektów powyższych, na gruncie dawnego Folwarku Świętokrzyskiego stoi Zakład wychowawczy im. Boduena, Szpital Dzieciątka Jezus, plac między obydwoma temi zakładami, ogród pomologiczny i probostwo, ogrody kościoła św. Piotra i Pawła [1]).

Celem wybudowania na gruntach folwarku Świętokrzyskiego Zakładów im. ks. Boduena, mieszczących się przy pl. Wareckim (dziś pl. Napoleona), weszła Rada miasta stoł. Warszawy w porozumienie z inż. Dewarsem, przedstawicielem kapitalistów francuskich, proponując mu oddanie placów zajmowanych dotychczas przez szpital (na pl. Wareckim) w zamian za zbudowanie nowego odpowiedniego szpitala na gruncie folwarku Świętokrzyskiego.

Umowa ta nie przyszła jednak do skutku, wobec tego Magistrat warszawski sam wziął się do rozparcelowania placów starego szpitala oraz do zbudowania nowego. Budowę zaczęto w r. 1897. Dn. 7 sierpnia t. r. nastąpiło poświęcenie kamienia węgielnego pod nowe gmachy, dokonane przez ks. kan. Seroczyńskiego, prob. parafji św. Barbary. Plan budowy i nadzór nad robotami, wykonał budowniczy Józef Dziekoński. Robota została ukończona i szpital z pl. Wareckiego został przeniesiony do nowego gmachu w r. 1900.

---

[1]) Stefan Dziewulski i Henryk Radziszewski, Warszawa, Tom I, Dzieje miasta, Topografja, Statystyka ludności, str. 343.

Na placu większym od ul. Teodora (dziś Chałubińskiego) stanął wielki budynek klinik uniwersyteckich w kształcie olbrzymiej podkowy. Obok klinik stanął na rogu ul. Chałubińskiego i Nowo-Wspólnej drugi wielki gmach mieszczący prosektorjum i muzeum anatomiczne. Obok dziedzińca uniwersyteckiego umieszczono dziedziniec gospodarczy szpitala. Stanęły tu duże budynki: kuchnia, pralnia parowa, budynek machin do oświetlania elektrycznego, oraz magazyn żywności ze stajniami. Resztę placu wypełniają pawilony szpitalne. Na zbiegu ulic Nowogrodzkiej i Żelaznej zbudowano kościółek szpitalny (w 1921 roku znacznie powiększony — roboty jeszcze nieukończone) a symetrycznie na rogu ulic Żelaznej i Nowo-Wspólnej — kaplicę prawosławną (dziś zamkniętą).

Na placu mniejszym, stanął zwrócony frontem do ul. Starynkiewicza († 1902 jenerał, b. prezydent miasta Warszawy, jeden z uczciwych urzędników rosyjskich, dbający o dobro miasta) zakład położniczy. Za tym gmachem wzniesiono od ul. Nowogrodzkiej dom dla starszych dzieci a dalej dom wychowawczy dla niemowląt. W końcu placu zbudowano parterowy barak dla dzieci dotkniętych chorobami zaraźliwemi [1]). Te budynki dla dzieci stanowią razem Zakład wychowawczy im. Boduena, oddzielnie prowadzone od szpitala Dzieciątka Jezus. Tak wygląda dziś folwark Świętokrzyski.

Wchodzi także jako własność Zgromadzenia objekt oznaczony l. h. 1084 pl. Grzybowski l. polic. 3 i 5. Dziś na tym terenie stoi kościół i probostwo Wszystkich Świętych. Jest to darowizna przekazana na rzecz Zgromadzenia przez hr. Gabrjelę z Gutakowskich Zabiełło. Akt tej darowizny dokonany został w r. 1855 i zatwierdzony przez Radę administracyjną Królestwa dn. 16/28 lipca 1857 r. Ks. Andrzej Dorobis, wizytator, starał się, aby tytuł własności

---

[1]) Por. broszurkę „O księdzu Boduenie“, napisał Dr. Antoni Puławski, str. 23.

b ł przepisany w wykazie hipotecznym i rzeczywiście tytuł przewłaszczenia został przez Aleksandra Bryndzę, Regensa Kancelarji Ziemiańskiej do ksiąg hipotecznych wpisany z datą 11 stycznia 1858 r. Trybunał jednak cywilny tego aktu nie uznał jużto dla braku konsensu z drugiej strony, jużto, że Zgromadzenie nie składa dowodu z opłaty stemplowej. Ostatecznie trybunał pomieniony „stanowczą decyzję co do wniosku będącego w mowie, przelanie tytułu własności na mocy darowizny na celu mającego, zawiesza aż do załatwienia wytkniętych przeszkód". Wyrok ten trybunału cywilnego jest z dn. 26 stycznia 1858 r., więcej wiadomości w tym przedmiocie nie doczytałem się.

Oprócz dotychczas przytoczonych realności, własnością Zgromadzenia względnie Domu św. Krzyża były różne dobra ziemskie, które również uległy konfiskacie.

Największe z tych dóbr, a przytem związane z imieniem wspaniałomyślnej fundatorki Zgromadzenia, królowej Marji Ludwiki Gonzagi, była wieś Skuły[1]) (woj. warszawskie, pow. mszczonowski). Ks. Symonowicz w częściej już wspominanej kronice (str. 35) pisze: „Królowa Imć. Polska Marja Ludwika z Gonzagów, Fundatorka nasza, część tej wsi w r. 1654 kupiła i Misjonarzom darowała, z dozwoleniem Stanów Królestwa pozostałych części zakupienia; co też Misjonarze zakupiwszy w r. 1782 część Michała Dunina Brzezińskiego za zł. 7518, w roku 1787 część Jana Dunina Brzezińskiego za zł. 22.000, w tymże roku część Ignacego Michała, Bony i Marjanny Świdzińskich za zł. 2090 uskutecznili. Wieś pomieniona cała prawie w r. 1789 odbudowaną została.

Gdy w r. 1794 stanęli obozem Prusacy w Skułach, ciągnąc na oblężenie Warszawy, zrządzili szkody przez zabór koni, bydła, gromady owiec z tysiąc blisko sztuk złożonej, do 15.000 zł.

---

[1]) Por. Historia Congr. Missionis in Polonia str. 3 n. 4, str. 67 n. 17.

W r. 1797 została pomieniona wieś przez byłą wówczas Kamerę Pruską, na skarb zabrana i niejakiemu p. Jawornickiemu w dzierżawę trzechletnią puszczona. Po jej ukończeniu za staraniem ks. Jakubowskiego podówczas wizytatora, wróciła w posesję Misjonarzy.

Przechód wojsk francuskich w r. 1807 zrządził szkody według podania do Izby obrachunkowej udowodnionego kwitami na 11.808 złotych, przez podpalenie zaś umyślne w r. 1811 dnia 24 czerwca spłonęły ogniem wszystkie zabudowania dworskie, tak, iż oprócz piwnicy i nad nią drewnianej altanki, nic więcej nie pozostało. W następnych latach dwór, stodoły, spichrz, owczarnia, stajnia, wołownia postawione zostały".

Dalej opisuje kronikarz spory długie o granice wioski (od r. 1773—1888). Wspomina, że w r. 1819 został dokonany dokładny pomiar pól, lasów i łąk, zachowany w archiwum, co jednak nie jest w naszem posiadaniu. Opisuje następnie kościół tej wioski.

„Wieś Skuły ma kościół parafjalny w wieku 13 założony. Ius Patronatus tego kościoła do Misjonarzy jako do dziedziców należy. Od r. 1782 niema pomieniony kościół plebana, dla szczuplego funduszu na jego utrzymanie. Kościół ten wraz z plebanją zupełnie prawie zdezolowany, nakładem Zgromadzenia w r. 1773 wyreparował ks. Siemieński wizytator. Niedawno także w r. 1818 gontami na nowo pokryli Misjonarze plebanią i komin w niej murowany wyprowadzili. W r. 1819 gontami kościół pobili i w miejsce starej dzwonnicy, za kościołem nową z drzewa postawili. Ubiorów i ochędóstwa kościelnego tudzież naczyń, wszystko to od św. Krzyża jest posłane. Oprócz albowiem zaboru sreber kościelnych przez Rząd Polski w r. 1794 na 1706 zł. szacowanych, złodzieje w nocy raz w r. 1796, drugi raz w r. 1800 ze szczętem go złupili. W niniejszym czasie grunta do plebanji należące obsiewa dzierżawca Skuł i z plebanji, wyjąwszy kasę ogniową, podatki opłaca. Misjonarze zaś wypłacają księdzu Komendarzowi rocznie 1200 zł., dają mu 7 fur siana

i na dwa odpusty dwóch księży własnym wozem wysyłają. Oprócz tego utrzymują organistę płacąc mu 120 zł. i dając ordynarję znaczną. Dziadek kościelny pobiera także 8 zł. i naddatki..."

Stan majątkowy Skuł i własność ich Zgromadzenia, potwierdza w całości księga hipoteczna ziemska p. t. Skuły. Stan ten przetrwał do r. 1864, w którym nastąpiła kasata Zgromadzenia a z nią przekazanie Skuł pod rozporządzenie Skarbu Królestwa. Celem[1]) „uregulowania hipoteki dóbr Skuły w pow. warszawskim położonym, a dawniej do Zgromadzenia Ks. Misjonarzy warszawskich należących, obecnie wskutek Najwyższego ukazu z dn. 19 lutego (2 marca) 1864 w zarząd Skarbu przeszłych, Trybunał cywilny wyznaczył termin na dzień 1 (13) grudnia 1869 pismem kancelarji ziemiańskiej", ogłoszonem w „Dzienniku Warsz." z dn. 20 sierp. (1 września) 1869 n. 184. Na powyższej rozprawie wpisano w księgi hip. nowego właściciela Skuł — Skarb Królestwa.

Jakiż stan dzisiejszy tego majątku? Część większą roli sprzedał rząd rosyjski między zasłużonych (!) rosyjskich czynowników a niektóre części majątku przeszły już w drugie i trzecie ręce. Dotychczas — jak stwierdziłem w aktach min. rolnictwa — we władaniu rządu jest tylko 120 morgów gruntu wraz z łąkami, porozrzucanego w różnych kawałkach. Natomiast lasu jest 755·64 ha, a zatem cały las z r. 1864 zostaje dziś jeszcze w rękach rządu. Zawiaduje nim dep. leśnictwo w min. rolnictwa. Oprócz Skuł w r. 1864 posiadało Zgromadzenie jeszcze dobra: Danidy[2]), Zgorzała, Łady, Jeziorki, Podolszynie i Jazgarzewczyznę. Wszystkie te wioski są niedaleko Warszawy w kierunku południowym. Oto parę wiadomości o nich:

W r. 1629 ks. Jan Raciborski, dziekan i oficjał warszawski darował folwark Zgorzała kapitule warszawskiej

---

[1]) Słowa Trybunału cywilnego — por. księg. hip. „Skuły".
[2]) Hist. Congr. Miss. in Polonia, str. 20, n. 34.

z tem, by dochodów z tego folwarku używała na utrzymanie i wychowanie ubogich kleryków, pochodzących z ziemi Warszawskiej i Czerskiej. W r. 1630 ofiarował w tym samym celu dobra swe Danidy, dołączając życzenie, aby ci klerycy kształcili się w akademji krakowskiej. Kiedy jednak tego postanowienia Kapituła Warszawska nie wprowadziła w życie, chcąc ulżyć swemu sumieniu, postanowiła w r. 1677 oddać te dobra Zgromadzeniu XX. Misjonarzy u św. Krzyża na wychowywanie kleryków djecezjalnych i oto źródło, dlaczego oprócz kleryków Zgromadzenia (internów) u św. Krzyża znajdujemy i kleryków djecezjalnych (eksternów). Uchwałę Kapituły Warszawskiej zatwierdził ks. biskup poznański[1]) Stefan Wierzbowski z dołączeniem klauzuli, aby klerycy, którzy się będą kształcić u św. Krzyża, w pewne dni roku, jak np. w Wielki tydzień, Wielkanoc, Ziel. Święta itd. służyli podczas mszy pontyfikalnej biskupowi w kolegiacie św. Jana.

Tranzakcję tę zatwierdził papież Innocenty XI brewem z dn. 20 sierpnia 1677 r. zmieniając w pewnych szczegółach myśl zmarłego ks. Raciborskiego. Wykonanie tych postanowień powierza papież nuncjuszowi w Polsce Mgrowi Martelli, który też pismem z dnia 4 lipca 1678 oddaje Zgromadzeniu wsie Danidy, Zgorzała, Łady z przynależnościami, celem utrzymywania przez Zgromadzenie kleryków djecezji Poznańskiej. Oznaczenie liczby tych kleryków pozostawia się osądzeniu Przełożonych Zgromadzenia, jak również przyjmowanie i ewentualnie wydalanie kleryków należy do przełożonego św. Krzyża, z uwzględnieniem przyjmowania przedewszystkiem młodzieńców z Czerskiej i Warszawskiej ziemi. Sprawozdanie z dochodów składa Zgromadzenie jedynie nuncjuszowi w Polsce. Kapituła zaś Warszawska wystawiła wyraźny akt zrzeczenia się powyższych dóbr na rzecz Zgromadzenia.

---

[1]) Warszawa nie miała wtenczas jeszcze swego biskupa, należała do Poznania.

W r. 1781 seminarjum eksternów u św. Krzyża wizytuje ks. bisk. poznański Antoni Okęcki [1]). Biskup odniósł się nieżyczliwie do poprzednich postanowień i władzy przełożonych Zgromadzenia w stosunku do seminarjum, postanowił bowiem, że Zgromadzenie odtąd zobowiązane Jemu, biskupowi, zdawać sprawę z dochodów z folwarków Danidy i Zgorzała. Tak samo zastrzegł sobie biskup prawa swe w przyjmowaniu i wydalaniu kleryków, których liczbę ustalił na 16, przeznaczając na utrzymanie jednego po 440 zł. Postanowienia te obowiązywać miały na lat 10.

W r. 1794 powstanie Kościuszkowskie, Warszawa oblężona przez wojska rosyjskie i pruskie. W czasie tego zamieszania wieś Danidy oraz inne folwarczki Łady, Zgorzałe, Jeziorki zostały zupełnie zniszczone, inwentarz zagrabiony, budynki zrujnowane, urządzenia folwarczne, browarniane sprzedane. Skutkiem tego seminarjum djecezjalne zostało rozpuszczone a i w następnym roku dla braku funduszów nikogo nie przyjmowano.

W r. 1695 miesiącu wrześniu — pisze ks. Symonowicz [2]) „została komisja od Kapituły Warszawskiej złożona z prałatów Reptowskiego i Adama Prażmowskiego dla naocznego przekonania się w jakim podówczas stanie fundusz seminaryjski zostawał. Opis tej komisji protokolarny znajduje się w archiwum domowem. Postanowiono zaś na niej: 1⁰ zaprowadzić zasiewy i inwentarz dworski, 2⁰ zapomódz włościan w zasiewy, sprzężaj i dać im na wyżywienie, 3⁰ gospodarskie budynki wyreparować. Wyrachowano na to wszystko 21.679 zł., które z procentem miały być pożyczone, a tymczasem w r. 1797 miało być czterech kleryków do Seminarjum przyjętych i utrzymywanych, w następnym roku sześciu i tak dalej, iżby w 1804 liczba ich do 16 według ordynacji w r. 1871 doprowadzoną została; wypłata zaś procentów od sumy mającej się pożyczyć i jej zupełne

---

[1]) Continuatio descript. domus S. Crucis, str. 12, n. 9.

[2]) loc. cit., str. 71.

umorzenie z remanentów lat ośmiu miała być uskuteczniona XX. Misjonarze jako administratorowie dóbr seminaryjskich w celu ich podźwignienia, zaciągnęli dwie sumy, jedną na 18.000 zł., drugą na 10.000 zł. i za pomocą takowej pożyczki wyreparowali budynki gospodarskie, zakupili zasiewy dla dworu i włościan, nabyli inwentarz itp. Dwie powyższe sumy wypożyczone, zwrócone zostały, jedne w r. 1799 a druga w r. 1801.

Co się tyczy liczby kleryków przez delegowanych od Kapituły mających się utrzymywać przepisanej, ta wiernie, jak poświadcza lista ich u dyrektora Seminarjum znajdująca się, zachowaną była.

Gdy tak Misjonarze około podniesienia funduszu seminaryjskiego zaczęli się krzątać, rząd pruski w r. 1696 wraz z miastem Warszawą zagarnąwszy pod swoje panowanie część Polski, wszystkie dobra do Instytutów duchownych należące zagarnął i do skarbu swego przyłączył i takowe w dzierżawę puścił, szczupłą tylko część dochodu z nich pod imieniem kompetencji dawnym posiadaczom duchownym na ich utrzymanie z swojego skarbu wyznaczywszy. Wskutek takiego urządzenia Danidy wraz z wsiami zarobnemi w dzierżawę trzechletnią Maciejowi Fontanna wypuszczone zostały. Ks. Józef Jakubowski wówczas Wizytator Zgromadzenia naszego, użył kredytu swego, jaki miał u dworu berlińskiego, udał się osobiście do Berlina i za wstawieniem przyjaznych sobie osób, wyrobił dekret królewski, mocą którego tak dobra własne Zgromadzenia, jako i do Seminarjów należące, od dóbr kameralnych rozłączone i w posiadanie dawnych dziedziców miały być oddane. W ten sposób i dobra Zgromadzenia i Seminarjów ocalone zostały.

Obawiając się atoli nowych coraz projektów i napaści ze strony Kamery Królewsko-Pruskiej względem dóbr na siebie odebranych, po skończonej trzechletniej dzierżawie, znowu z wolnej ręki na lat 12 wydzierżawiło Zgromadzenie Danidy temuż Fontannie i dopiero w r. 1814 po ukończonej dzierżawie, w zarząd Zgromadzenia powróciły i dotąd zostają.

W ciągu takowej dzierżawy wydarzyła się wojna z Francją w r. 1806/7, w ciągu której inwentarz dworski i załogi włościan całkowicie stracono. Po zawartym w Tylży pokoju, znowu wedle możności włościanie w zasiewy opatrzeni zostali. Lecz wojna z Austrją 1809 r. wszczęta i bitwa pod Raszynem zaszła, w którego sąsiedztwie położone Danidy, nowego ich zniszczenia stała się powodem. Oprócz zaboru załog, zboża, sześć także domów włościańskich wraz z stodołami i oborami rozebrane i spalone przez Austrjaków zostały.

Oprócz tego Fontanna, dzierżawca Danidów, z powodu przechodów wojsk i stanowisk wojskowych, tudzież nadzwyczajnych furażów dla żołnierzy różnych narodów dostawionych, rościł do Misjonarzy, jako uważanych za dziedziców dominium Danidy pretensji 34.556 zł. i 3 grosze do r. 1808, a od tego czasu do 1813 r. 29.442 zł. 25 groszy. Takowe zniszczenie funduszów i Zgromadzenia i Seminarjum, lubo liczba 16 kleryków ordynacją biskupią wyznaczonych, ciągle w powyższych krytycznych latach utrzymywaną była, dała powód ks. Jakubowskiemu, podówczas wizytatorowi, do udania się o wsparcie do króla saskiego a podówczas księcia Warszawskiego. Wyznaczona przezeń komisja, rozpoznawszy stan dochodów tak do Zgromadzenia jako i Seminarjum należących, przekonała się o niedostateczności utrzymania się i królowi przedstawiła, a ten dekretem z dn. 17 lipca 1811 r. w Dreźnie datowanym, zaległe niektóre podatki darował, inne w mniejszej ilości do skarbu niż dawniej wnosić nakazał a nareszcie na utrzymanie Seminarjum i Zgromadzenia 10.000 zł. pod tytułem zasiłku ze skarbu publicznego rocznie wyznaczył. Przeznaczony zasiłek pobierali całkowicie Misjonarze do r. 1818. W tym dopiero czasie chciano im wspomniany zasiłek odjąć. Po różnych przedłożeniach Ministerjum Oświecenia w tej mierze uczynionych, stanęło na tem, aby Zgromadzenie oprócz 16 kleryków djecezjalnych na funduszu utrzymywanych, czterech akademików z wydziału teologicznego w uniw. warszawskim po-

dejmowało. Od tego przeto czasu 20 kleryków utrzymuje Zgromadzenie wraz z 4 profesorami".

W dalszym ciągu opisuje jeszcze szczegółowo kronikarz zniszczenie, jakiego doznały te wioski podczas przemarszu wojsk rosyjskich do Francji i z powrotem. Wszystko to Zgromadzenie odbudowało, tak, że dochód z folwarków na utrzymanie kleryków przynosił rocznie 4793 zł. a następne lata został podwyższony do 6 a nawet do 7 tysięcy. Za sumę tę utrzymywało Zgromadzenie kleryków całkowicie, opłacając nadto książki, obuwie, ubranie, lekarza, aptekę itp.

Stan tych dóbr przetrwał potem mniej więcej do r. 1864, do kasaty. Po tym roku rząd rosyjski dobra te puszczał w dzierżawę swoim zasłużonym działaczom a częściowo oddał grunta „na uposażenie włościan" jak czytamy w aktach. Polityka bowiem rządu rosyjskiego szła po linji zyskania sobie włościan i usposobienia ich przeciw innym warstwom narodu. I tak w Ładach w r. 1869 oddano na rzecz włościan 241 morców 19 prętów ziemi, w Jeziorkach 4 morgi 165 prętów, w Danidach zaś sprzedał rząd w r. 1894, 1189 morg 8 prętów. Dziś, jeżeli coś jeszcze zostało, to niewiele lasu.

Do skonfiskowanych w r. 1864 majątków należy także wieś Podolszynie[1]). Dobra te zakupił ks. wizytator Bartłomiej Tarło w r. 1688 za 25.000 złp. na fundusz *Seminarjum Internum* Zgromadzenia. Dobra te Zgromadzeniu *iure caduco* zabrał niejaki Glayre i dopiero Trybunał Piotrkowski przysądził w r. 1782 własność wsi Zgromadzeniu. Ulegała ona, jak i inne dobra (położone obok Danidów) zniszczeniu w czasie wojen tak w r. 1809 jako i następnych. Po r. 1864 sprzedaż gruntu dokonana została razem z gruntem Danidów.

O małym folwarku Jazgarzew prawie żadnych wiadomości zdobyć nie mogłem.

---

[1]) Hist. Congr. Miss. in Pol., str. 25, n. 36; Contin. descript sir. 13, n. 10.

O czynszach wieczystych czyli emfiteuzie, była już mowa wyżej.

Bibljoteka Swiętokrzyska dostała się częściowo do bibjoteki Seminarjum archidjecezjalnego, a częściowo do bibljoteki cesarskiej w Petersburgu, a dużo także książek dostało się w prywatne ręce.

JEm. ks. kard. Kakowski zgodził się zwrócić nam książki z dawnej bibljoteki naszej św. Krzyża, jednakże wykonanie tego postanowienia napotyka na trudności natury technicznej, książki bowiem te złożone są razem z skonfiskowanemi innym klasztorom a zostają w miejscu dość trudnem na dokonanie tej segregacji.

W sprawie zaś zwrotu książek z Petersburga wniosłem odpowiednie pismo do Rządu polskiego dn. 26 kwietnia 1920 r. na ręce dziś już nieżyjącego a wówczas prowadzącego rokowania z rządem sowietów w Rydze, p. Korzeniowskiego, referenta do spraw bibljotecznych w min. W. R. i O. P.

Inne wreszcie uległe konfiskacie przedmioty, jak drukarnia [1]), kapitały bankowe etc. bliższego tłumaczenia nie potrzebują.

Jakież widoki rewindykacji w przyszłości, tych skonfiskowanych przez rząd rosyjski dóbr, a dziś przez rząd polski po rządzie rosyjskim odziedziczonych?

Zależeć to będzie głównie od wyniku układów, jakie w tym względzie zostały rozpoczęte między komisją rządu

---

[1]) O drukarni u św. Krzyża czytamy w *Mémoires de la Congrégation de la Mission*, t. I., str. 434. Po podziale Polski drukarnia Zgromadzenia w Chełmnie nie mogła spełniać pożytecznie swych czynności; dlatego ks. wizytator Siemieński rozporządził przenieść ją z Chełmna do Warszawy. Stało się to w r. 1780.

Drukarnia ta nie była dla Misjonarzy u św. Krzyża zbyteczna, lecz okazała się bardzo pożyteczną, oddając ogromne usługi Kościołowi i krajowi. Ks. wizytator Siemieński uzyskał od władz odpowiednich pozwolenie na prowadzenie drukarni, ograniczając jej użytek zresztą do publikowania dzieł treści religijnej, pożytecznych Zgromadzeniu i Kościołowi. Po kasacie Zgromadzenia w r. 1864 stała się własnością rządu rosyjskiego, a następnie przy odbudowie Polski własnością rządu polskiego.

a komisją kościelną. Rząd, jak wynika z jego deklaracji, złożonej na pierwszem posiedzeniu komisji w dniu 17 grudnia 1921 r. nie okazuje skłonności do traktowania dóbr poduchownych jako przedmiotu układów, chciałby uważać konfiskatę za akt dokonany, a pragnie zająć się szybką parcelacją obecnych dóbr kościelnych i traktować tę sprawę zupełnie oddzielnie od kwestji uposażenia duchowieństwa. Natomiast komisja kościelna zaznacza ścisłe *iunctim* tych praw i uważa „że w zakres umowy wchodzą wszystkie dobra, które Kościół obecnie w Polsce posiada oraz wszystkie dobra zabrane Kościołowi, co do których nie nastąpiła zgoda Stolicy Apostolskiej.

Przypuszczać należy, że bliska przyszłość te mroki rozjaśni. *Ks. Józef Gaworzewski.*

Misje Księży Misjonarzy z Kleparza.

Jak cicho! — Zdaje mi się, że jeszcze slyszę głos z Litwy!... Piszmy, nikt nie woła... Nikt nie woła z tej Litwy drogiej i ukochanej, nasiąkłej myślą polską i jej duszą natchnioną. Ale czy naprawdę nikt nie woła? Okazało się później, że jednak wołał ktoś stamtąd na ks. dyr. Odrobinę i dzisiaj, kiedy to piszę, on już, jak narcyz, przegląda się w Wilji.

Hej! Z jakąż łuną zapału — i z jaką mocą w duszach wróciliśmy do pługów od Ostrobramskiej Panienki, od tej, którą zowią także „Księżną Litwy"! Lecz nie tutaj miejsce na opisywanie wrażeń, chociaż one tak podrywają się z duszy i cisną się pod pióro, jak pisklęta jaskółczego rodu, co poczuwszy mocne pióra u skrzydeł, rwą się z gniazda na szeroki Boży świat. Nie wrażenia chcę opisywać, jeno twardą pracę, nie odczute głęboko momenty estetycznych zadowoleń, historyczno-narodowych, czy nawet naszych dawnych rodzinnych misjonarskich wspomnień, lub religijnych uniesień, lecz te świeże pachnące skiby, w które, za łaską i po-

mocą Bożą, zoraliśmy ludzkie dusze. Nie powiedział bowiem Chrystus do Piotra, kiedy go spotkał przy sieciach na tyberyjskim brzegu: „odtąd wspomnienia i wrażenia łowić będziesz", jeno: „odtąd ludzi łowić będziesz".

Trochę nam za ten czas pługi pordzewiały, ale, oczyściwszy lemiesze z rdzy błyskawicami naszych dusz i zaciąwszy rumaki, zaczęliśmy w dalszym ciągu znojną orkę.

Klukowo, (od 26 maja do 2 czerwca).

W Klukowie, w majątku rodziny Starzeńskich, zatrzymaliśmy się najpierw. Mała to parafijka. Liczy zaledwie półtora tysiąca dusz. Dzieci wyspowiadaliśmy 147, starszych osób przeszło 1000, Komunji św. rozdaliśmy 3409. Kościółek w Klukowie bardzo maleńki, raczej kapliczka to, przy której państwo Starzeńscy utrzymywali dawniej kapelana wyłącznie dla siebie i dla ludzi pracujących w ich majątku. Obecnie przydzielono do Klukowa parę sąsiednich wiosek i utworzono odrębną parafję. Kościółek mały, ale za to cmentarz obszerny, zarosły ślicznie trawą i ocieniony pierścieniem ogromnych kasztanów. Był maj, więc mogliśmy głosić nauki i spowiadaliśmy na cmentarzu. Upał był wielki, ale z pobliskich łąk rozciągnionych naokoło kościółka, niby cudny kobierzec, hen, jak daleko okiem sięgnąć, krzepiły nas wonią swoją kwiaty, z nad mokradeł, w których wieczorem marzyły głośno żaby i dzieliły się z nami swą odwieczną melancholją, przynosił wiatr przyjemny i ożywczy chłód, zaś po polach skowronki, piewcy mozołu i poeci pracy, jak mówi Staff, rywalizowały z nami o lepsze. Praca, aczkolwiek, jak zwykle trudna, przecież nie tyle wyczerpywała nas fizycznie, ile moralnie pognębiały nas pewne okoliczności. Była na przykład nie załatwiona sprawa podziału parafji. Obie strony chciały wykorzystać nasz przyjazd i uzyskać od nas sankcję na przynależność jedni do tej, inni do drugiej z rywalizujących z sobą parafij. Lawirowanie i ustawiczna baczność, żeby nie angażować się za wiele w sympatje lub racje jednej lub drugiej strony, nurzyły nas strasznie. Ostatecznie skutek wy-

kazał, że nam, Misjonarzom, nie warto wdawać się w te sprawy. Było i kłótni wiele i rozmaitych sporów nie mało, to o zaległości jakieś, to o grunta trzymane nieprawnie w posiadaniu, które, ile było w naszej mocy, łagodziliśmy, jak było można!

Na łono Kościoła katolickiego przyjęliśmy jedną kobietę z prawosławia.

Dwór, trzeba to przyznać, świecił przykładem. Młody hrabia, wychowanek Zakładu chyrowskiego, trochę ekscentryk, ale człowiek bardzo dobry i wykształcony, sam, jak nam mówiono, pasł konie, a fornalom kazał iść na misje. Dwie jego siostry wmieszane w tłum wieśniaczek, trwały w kościele od świtu do zmierzchu. A już bardzo budującą była chwila, kiedy w dzień zakończenia misji, na oczach całej parafji, najpierw ks. prob. Ramstowski, a za nim młody hrabia, odbyli spowiedź świętą przed ks. dyr. Odrobiną, kiedy tenże na cmentarzu dobijał jeszcze resztek spowiedzi.

Postawiwszy przed południem krzyż, ruszyliśmy pod wieczór do sąsiedniej parafji kuczyńskiej.

Kuczyn, (od 3 do 9 czerwca).

Te same powody, co w Klukowie, to jest nie załatwiona sprawa parafji, nużyły nas śmiertelnie i tutaj. Upały były niemożliwe. Z ambony schodziliśmy za każdym razem, jakby nas z wody wyjął. Przekonaliśmy się, że nie trzeba jechać aż do Afryki, żeby doświadczyć tego, co Sienkiewicz, to jest, że pod pewnym kątem szerokości, a w tym wypadku przy pewnej ilości stopni Celsiusza, nawet koszulę poczyna się uważać za stary europejski przesąd. Pracowaliśmy też przeważnie poza kościołem, na cmentarzu, w cieniu rozłożystych lip. Całe roje pszczół, wprawiały nas w jakiś hypnotyczny pół-sen — i dopiero, kiedy która przewinęła się za blizko nosa, poczynał człowiek wymachiwać energicznie ręką i trzeźwiał momentalnie.

Jest w Kuczynie dwór, albo raczej jego ruina. Przedtem był to majątek w bardzo kwitnącym stanie, ale po śmierci

ostatniego dziedzica, źle się w nim dziać poczęło. Przedewszystkiem to, że majątek przypadł zapisem, nie jego krewnym (był bowiem bezdzietnym), ale jednej z jego służących. Zgorszenie szło na całą parafję!

W napół rozwalonym dworze, odbywały się niemal co noc, niby w jakiejś starej ruinie, w której złe kusi, tańce i orgje. Okoliczna szlachta zagonowa i chłopi, potrzebując łaski zaawansowanej dziedziczki, to jest chcąc wypasać bydło na pastwiskach dworskich, zatracili do tego stopnia honor w kościach, że całowali ręce rozzuchwalonej pokojówki i nazywali ją „jaśnie panią". Miał też i ks. proboszcz nie mało z nią kłopotu. Bo oto utrzymywała pod okiem plebanji zamaskowaną karczmę i wszczęła proces o odebranie kawałka gruntu, który ks. proboszcz był nabył od zmarłego dziedzica pod budynek parafjalny. Kiedyśmy przyjechali do Kuczyna, „jasna pani", poczęła celować w nas jasnemi piorunami i mielibyśmy się z pyszna, gdyby ta niebieska artylerja była na jej rozkazy! Pioruny byłyby nas potłukły, jak pociski armatnie, kiepski fort. Na szczęście, pioruny uszanowały nasze biedne misjonarskie skóry i kierowane przez nas, zbombardowały doszczętnie jej duszę. Już prawie pod sam koniec misji, pewnego wieczoru, gdy chóry niezmordowanych żab poczęły grać na łąkach, a słońce zaszło za bory, przyszła dziedziczka, najpierw na poradę do misjonarzy, a potem wyspowiadała się z pokorą i skruchą. Doprawdy, że łzy stały nam w oczach i byliśmy dla niej pełni współczucia i szczerego szacunku, gdyśmy ją widzieli stojącą pod krzyżem misyjnym, zażenowaną i skruszoną, wytrzymującą odważnie, niby owa jawnogrzesznica ewangeliczna, rozciekawione źrenice całej parafji.

Takich to cudów potrafi dokonywać łaska Boża!

Że nawrócenie było szczere, przekonaliśmy się jesienią tego samego roku, jadąc przez Kuczyn na misję do sąsiedniego Ciechanowca. Gdyśmy przejeżdżali obok dworu, wybiegła ku nam i witała nas z niekłamaną wdzięcznością. Od ks. proboszcza dowiedzieliśmy się, że gorszące zabawy

we dworze ustały, karczmę zamknięto, a proces został umorzony.

Jednak nie ze wszystkiem powiodło nam się tak szczęśliwie. Pewna matka, zagniewana na córkę, nie chciała się z nią pojednać, chociaż ta błagała ją na wszystko, klękała przed nią i całowała ją po rękach. Nie pomogły także perswazje sąsiadek. Uparta starucha wolała raczej być odsuniętą od Komunji świętej, aniżeli pojednać się z córką.

Rzadką, w takim razie, ma misjonarz minę, ale biedak pociesza się tem, że i Chrystus nie nawrócił wszystkich i że może przecież i taką zatwardziałą duszę dopędzi, bodaj nad grobem, miłosierdzie Boskie i zabierze ją, jak ongiś łotra z krzyża, ze sobą do raju.

Było też w Kuczynie czterech braci stryjecznych. Ci znowu wadzili się ustawicznie z sobą o miedzę. Dwaj sadzili drzewka na znak, że dotąd sięga ich rola; dwaj drudzy natomiast wyciągali je i zacierali wszelkie ślady. I tak zabawiali się jak małe dzieci, a nienawiść, między niemi, rosła z dnia na dzień. Aż w końcu im się to uprzykrzyło i porwawszy za siekiery, porządnie się porąbali. W czasie misji zjawili się u nas, chcąc, żebyśmy ich pogodzili. Był przytem i lekarz, który opatrywał najciężej poturbowanego. Nie pomogły wszelkie perswazje i zaklinania. Zraniony żądał od tego, który go poranił, żeby zapłacił taką sumę na cele narodowe, albo na kościół, która równała się niemal całej wartości jego dobytku. A kiedy tenże przypominał ze łzami, że ma żonę i dzieci i że nie może się przecież tak rujnować, rzekł mu zraniony: „No, to złam sobie i ty prawą rękę, żebyś wiedział jak to boli, i ile jeszcze cierpię". Nie pomogły żadne tłumaczenia, ani ks. proboszcza, ani lekarza, ani nasze, ani niczyje.

Doprawdy, że patrząc na nich i słuchając ich naiwnego argumentowania, trudno było oprzeć się myśli, że jednak w naszym poczciwym chłopku, chociażby on był szlachcicem zagonowym, chociażby miał twarz tak dostojną, jak sam Piast i pod nosem bujny, jak chwasty, wąs, że jednak

w tym kochanym naszym suwerenie tkwi, jak dotąd przynajmniej — głupi, naiwny dzieciak.

Gadał jeszcze z nimi ks. Filip, na plebanji, aż do północy, ale ponieważ błazeństwem było, żeby ktoś na poczekaniu łamał sobie rękę, a poszkodowany od tego żądania odstąpić nie chciał, więc rozszedł się z nimi o samej północy. Była śliczna czerwcowa noc. Za odchodzącymi braćmi z plebanji patrzał księżyc z wysokiego nieba i zdawał się krzywić ironicznie, czy może z politowaniem, swą pyzatą twarz.

Trudno opisywać wszystko. Na łono Kościoła katolickiego wróciła z prawosławia jedna kobieta i dwóch starszych chłopców. Wyspowiadało się razem 3.000 osób, Komunji świętej rozdaliśmy 11,000.

Wieczorem o zmierzchu, wsiedliśmy na wózki i pojechaliśmy ślicznemi, wonnemi łąkami, wzdłuż leniwych wód Nurca, do Wyszonek.

Wyszonki, (od 11 do 18 czerwca).

Przyjechaliśmy tam już dosyć późną nocą. Ks. proboszcz Tyczka przyjął nas bardzo gościnnie i serdecznie. Po kolacji zagrał jeszcze ks. Odrobina, na fisharmonji, na dobranoc, jakąś słodką serenadę. Ks. Filip i ja zaśpiewaliśmy, ziewando, tęskną pieśń żołnierza, zaczynającą się od słów: „Wypłynął księżyc zza chmury rozdartej" i znużeni, mając duszę pełną łzawej skargi żołnierskiej, wpłynęliśmy, w przeciwieństwie do księżyca, pod nierozdarte kołdry.

Nazajutrz była niedziela. Razem ze słońcem, wyskoczyliśmy z twardych posłań, jak owa bogini pogańska z piany morskiej, raźni i weseli, jak majowe poranki. Pracę zaczęliśmy na sumie.

Parafja wyszonkowska liczy nie całe 4.000 dusz. Wyspowiadało się około 3.000, Komunji świętej rozdaliśmy 8.900.

Jeszcze przed zaczęciem misji przybyły delegacje od dworów, żądając uwzględnień, ponieważ w jednym majątku zbierano siano, w drugim koniczynę, a w trzecim i w po-

zostałych jakieś tam jeszcze trawy, czy mchy... Odpowiedzieliśmy, że my właśnie w ten sposób urządzamy misję, że najpierw będzie serja żeńska, za ten czas mężczyźni będą mogli pracować przy sianie i koniczynie, a jeżeli okaże się potrzeba, to się jeszcze coś obmyśli.

Nie dosyć tego było niejakiemu p. Gromczewskiemu z Chorążyc. Majątek jego liczy aż tyle włók, że nie trzeba nawet zdejmować obuwia z nóg, żeby je na palcach policzyć. Mimo to, skoro świt w niedzielę, zjawił się na plebanji w jakiejś lichej kałamajce, zaprzężonej w taką klacz, że przesławny Don Kiszot z biedą zajechałby na niej do Tobozy, i oczywiście, z jakimś rodzajem gończego psa. Przedstawił nam się z dużym gestem i odrazu zrobił na nas wrażenie bardzo pospolitej figury, gadatliwej nad miarę. Dowiedzieliśmy się z jego własnych wymownych ust, że jest jeszcze nie żonaty, że ongiś, gdy był jeszcze w Chyrowie, w Zakładzie OO. Jezuitów, odprawiał i on, pod ich kierunkiem, jakieś rekolekcje, i że od czasu tych rekolekcji, chodzą mu dotąd pobożne, czy jakieś tam, po duszy echa... I w rzeczy samej, przekonaliśmy się później, że z rekolekcji, odprawianych za czasów studenckich, zostały mu się jeno jakieś echa których, w praktycznem jego życiu, żadną miarą nie można się było dosłuchać. A chociaż nie byłbym niedyskretnym, wyjawiając to i owo z życia nieżonatego dziedzica, bo mówiono o tem naokół publicznie, wolę jednak zamilczeć. Dość na tem, że i on, właśnie w czasie misji, kosić musiał, czy zwozić jakieś siano. Powiedzieliśmy mu, że na razie mężczyźni mają jeszcze trzy dni czasu, a potem, gdy się już nie da inaczej zrobić niech nam ich przyśle, chociażby tylko do spowiedzi i na wspólną Komunję świętą. Pożegnał się z nami, i tyleśmy go widzieli w ciągu całej misji. Gdy jednak nadszedł umówiony czas spowiedzi i wspólnej Komunji, nie chciał puścić fornali, wypowiedział nawet jednemu miejsce, a nam kazał powiedzieć, żebyśmy mu przyśli krowy paść, to puści ludzi na misję. Oburzyło nas to do żywego. To też pomni słów najprzewielebniejszego ks. biskupa Jałbrzyko-

wskiego, żeby nie pardonować dworom, które nie świecą ludowi dobrym przykładem i, żeby ratować jakoś nasz autorytet, bo bądź co bądź, byłoby nas to ośmieszyło, odpowiedzieliśmy mu publicznie z ambony, żeśmy tu nie po to przyjechali, żeby jakiemuś bezbożnikowi krowy paść, jeno, żeby odprawiać misje i, że z takimi panami, jak on, potrafimy sobie jeszcze dać radę. Niechże pamięta o tem, że gdyby do jego majątku przybył agitator socjalistyczny, bolszewicki i urządził mu dwutygodniowy, lub dłuższy jeszcze strejk, to, nie mówiąc już o stratach materjalnych, rad byłby, że uszedł z życiem cało. A kiedy chodzi o jedno, czy dwa półdnia dla misji, wykrzykuje, żeby mu misjonarze przyszli krowy paść. Wezwaliśmy też jego ludzi, żeby nazajutrz stawili się wszyscy, jak jeden mąż, co też uczynili i dobrze na tem wyszli, bo wobec takiej naszej i ich zdecydowanej postawy, buńczuczny dziedzic uczuł się bezsilnym.

Podobnie i inne dwory, z wyjątkiem jednego, świeciły na misji pustką. Smutna to i bolesna rzecz, że tych ludzi wypadki ostatnich lat niczego nie nauczyły. Nie pojmują oni, czy nie chcą pojąć tego, że postępując w ten sposób, kręcą bicz na własne plecy i własną ręką piszą na siebie wyrok: morituri! Przecież ten lud, jaki jest taki jest, ale im więcej będzie się trzymał Boga, im więcej w praktycznem codziennem życiu będzie się kierował zasadami wiary i im częściej ze swoim panem i pracodawcą będzie się spotykał w kościele, a zwłaszcza w tak wyjątkowej i rzadkiej chwili, jaką jest misja i jeżeli będzie widział, że ta misja potrzebną jest nietylko jemu, ale i jego panu, to jednak prędzej zrodzi się w nim to kojące przekonanie, że przecież nie jest on tylko pociągowem bydłem, ale że chociaż w kościele równym jest swemu panu. I tem prędzej wyzbędzie się klasowego rozgoryczenia, tem mniej będzie on podatnym na dzisiejsze wywrotne hasła, wymierzone właśnie w ten zaogniony drażliwy punkt, tem prędzej uszanuje swego pana, tem ochotniej i sumienniej będzie dlań pracował i nie tak zawistnem okiem będzie spoglądał na jego dobro. A więc dwory, nie biorąc

udziału w misjach i utrudniając branie w niej udziału swoim ludziom, psują swoją własną sprawę.

A powtóre psują także Sprawę Bożą. Bo w ludzie, mimowoli wyrabia się to przekonanie, że misja, a co po zatem idzie i wogóle wiara, jest tylko dla biednego ludu, dla tłumu, żeby go utrzymać w karbach i w ryzie względem panów, żeby on szanował ich mienie i pracował na ich korzyść, zaś widocznie panom nie jest to potrzebne. I natychmiast pycha podnosi w nim odruchowo swój plugawy łeb: „A co, ty może gorszy od pana, ty z innej, niż on ulepiony gliny? Nie potrzebne jemu, to nie potrzebne i tobie!". I przez takie rozumowanie, wprowadzane natychmiast w życie, czuje się on w swem naiwnem przekonaniu równym panu i przestaje chodzić do kościoła.

Za to więcej zainteresowania misją, niż dwory, okazali żydzi. Przysłuchując się z daleka naukom i może przestraszeni trochę gromkimi głosami misjonarzy, pytali ludzi: „Nu, co one potrzebują jeszcz, abo co one piją, że potrafią tak głośno krzyczecz?". Mówił nam także p. Rogowski, jedyny, który z żoną brał udział w misji, że pewna stara żydówka, skupując masło i jaja, zaczęła tajemniczo wmawiać w jego ludzi, że misjonarze, „to są od ich wiary, bo tylko nasze żydzi potrzebują umieć tak dużo i tak głośno gadacz".

Tem żydowskiem uznaniem dla naszych głosów, no i postawieniem fenomenalnie wielkiego krzyża zakończyliśmy misję w Wyszonkach, ostatnią w serji przedwakacyjnej i nazajutrz, przed południem ruszyliśmy, śmiertelnie strudzeni, ku kleparskim pieleszom. Ks. Filip został się na Kleparzu, gdzie pono ze wszystkich miejscowości w Europie, a bodaj czy i nie na całym świecie, leżących w tej samej szerokości geograficznej, najczystsze i najzdrowsze jest powietrze, zaś ks. dyr. Odrobina i ja pomknęliśmy ku Olczy, w góry.

Odpocząwszy nieco i nabrawszy w duszę orlich skwirów, oraz zapożyczywszy głębi od przepaści, a wzniosłości od szczytów, ruszyliśmy po wakacjach do Chechła, pod Wolbrom.

Chechło, (od 14 do 21 sierpnia).

Jadąc tam dotąd zdarzył nam się, tuż pod samem Chechłem, bardzo fatalny wypadek, który mógł się zakończyć tragicznie. Furman, przypadkiem czy umyślnie wywrócił nas na równej drodze. Była już późna noc, zimny deszcz zacinał z ukosa, a ciemno było, że oko wykol. Jechaliśmy najpierw przez jakieś chaszcze, a następnie wydostaliśmy się na rozjeżdżony gliniasty gościniec. Nagle, ni stąd ni z owąd czujemy, że płytki maleńki koczyk poczyna się gwałtownie przechylać na prawą stronę. I nie trwało tyle czasu, ile go potrzebuje błyskawica, żeby zarysować się na czarnej chmurze,, a już poczuliśmy, że najdalej wysunięte naprzód kończyny naszych oblicz zaryły się w rozmokłą glinę, a na plecy zwaliło nam się coś ciężkiego. Leżeliśmy w błocie nakryci puklerzem koczyka. Ks. Odrobina, wrzasnąwszy nieludzkim głosem: „La Boga Świętego!", jednym potężnym wielorybim susem wyłonił się z pod puklerza i wyrósł nagle po drugiej stronie przydrożnego rowu, wysoki i czarny, jak djabeł przed Twardowskim w poemacie Staffa. Ja, zapomniawszy ze strachu o wszystkich aktach strzelistych, wygramolilem się zaraz za nim, a tylko ks. Filip, ucapiwszy kogoś, co leżał obok niego i sądząc, że to ks. Odrobina, ciągnął go za rękę i wołał na głos: „Jezus Marja! Jezus Marja!". Wydostawszy się nakoniec z pod wozu, przekonał się, że trzyma za kark furmana. Nie był on jednak wart tego miłosiernego aktu, bo mówiono nam potem, że to jakiś socjał i umyślnie nas pono wywrócił. Byłby jednak tę złościwość swoją, prawdziwą zresztą czy nieprawdziwą i sam przypłacił życiem. Ochłonąwszy z pierwszego przerażenia i sprawdziwszy, że ziemskie nasze powłoki, po za tem, że były oblepione gliną, nic tak dalece nie ucierpiały, zaczęliśmy się wszyscy serdecznie śmiać. Następnie dopiero przyszła refleksja. Oto, gdyby konie nie były natychmiast stanęły, lecz pobiegły wystraszone naprzód, to ściągając z nas wywrócony koczyk, byłyby nam napewno głowy oskalpowały, albo zgoła pourywały. Na szczęście zatrzymały się natych-

miast i stały spokojnie, jakby zawstydzone, że zrobiły takie głupstwo. Siadając napowrót do koczyka, spostrzegam, że nie mam parasola. Wytężam więc źrenice w ciemną noc i zdaje mi się, że dostrzegam coś czarnego w polu. Idę. Był to mój biały, podarty parasol. Stał na zagonie rozpostarty, niby czarny, piekielny grzyb, zasadzony ręką jakiegoś demona. Ruszyliśmy wreszcie dalej i zajechaliśmy przed plebanję, umazani gliną, jak robotnicy z cegielni. Oczywiście, że śmiechom i najrozmaitszym przypuszczeniom do późna w noc nie było końca.

Nazajutrz, na sumie, zaczęliśmy misję. Parafja niezbyt liczna. Wyspowiadaliśmy ogółem 2.000 osób, Komunji świętej rozdaliśmy 5.000. Ks. proboszcz był trochę uprzedzony do swoich owieczek. Twierdził, że ma w parafji wielu szubrawców, którzy z pewnością na misję nie przyjdą Nie byłoby to zresztą nic dziwnego, ponieważ wielu mężczyzn pracuje w kopalniach w pobliskiem Zagłębiu Dąbrowskiem, a na miejscu jest cementownia i wielka papiernia. Ta ostatnia jest własnością spółki żydowskiej. Dziewczęta, pracujące w niej, trzymają się dzielnie. Ponieważ dyrektor kantoru, także oczywiście żyd, nie chciał ich puścić na misję, więc wyspowiadaliśmy je wieczorem jednego dnia, a codziennie przez cały czas trwania misji, przychodziły wczesnym rankiem do komunji świętej i potem szły do pracy. Kiedy po misji zwiedzaliśmy z ks. proboszczem fabrykę, widzieliśmy w każdej sali obraz Serca Jezusowego lub Matki Boskiej, przybrany ślicznie w kwiaty. Nie podobało się to panom żydom, lecz nie mieli odwagi im tego zabronić.

Co do mężczyzn, to owi domniemani szubrawcy przychodzili najchętniej. Łaska Boska zrobiła swoje. Wielka w tem zasługa i kobiet. Niektóre z nich puściły się do Dąbrowy, pouwalniały mężów z pracy i poprzywoziły ich na misję. Reszta przybyła do domu w sobotę w nocy, odbyła bardzo przykładnie spowiedź św. i przystąpiła do Komunji św. Postawiwszy w niedzielę przed południem krzyż, ruszyliśmy wieczorem do Warszawy, a stamtąd w Łomżyńskie do Dąbrówki.

Dąbrówka, (od 28 do 31 sierpnia).

Z powodu zagrażającego strejku kolejowego wyjechaliśmy z Warszawy o dzień wcześniej, niż było w planie. A że już nie było czasu uprzedzić o tem ks. proboszcza, więc przyjechawszy o godzinie 3 nad ranem do Szepietowa, nie zastaliśmy furmanki. Śliczna była noc. Chodziliśmy aż do rana po peronie, licząc gwiazdy i patrząc jak „blada Selene w błękity rzucona, tęskniła do drzemiącego wiecznie Eudymiona". A kiedy wreszcie Angelus matutinus, pogasiwszy gwiazdy, wskazał nam ciszę wschodzących zórz, ruszyliśmy piechotą do poblizkiej Dąbrówki. Po drodze zabrał nas na wóz w deskach i wymoszczony słomą jakiś parobczak, wracający ze Szepietowa do Wyszonek. „Źle, proszę ojców — powiada — słychać w naszej parafji. Oto zaraz nie długo po misji, zamordowano chłopa w nocy na pastwisku, gdzie koniami wypasał sąsiadom trawy, a dziewczyna jakaś porżnęła brata nożem". Nie mile nas to uderzyło i w bolesnej zadumie dojechaliśmy do wsi. Na plebanji spało jeszcze wszystko, tylko psy czujne poczęły szczekać i wyć na nasze powitanie. Obudzony tem psiem larum ks. proboszcz, wstał, przyjął nas bardzo serdecznie i ułożył do krótkiej drzemki według rangi, to jest ks. dyr. Odrobinę na łóżku, ks. Filipa na kanapie, a mnie, minimum apostolorum, na jakimś kuternogim fotelu. Zdrzemnąwszy się nieco, odprawiliśmy Msze święte i wypocząwszy dzień cały, zaczęliśmy nazajutrz misję. Wyspowiadało się około 2.000 osób, Komunji świętej rozdaliśmy sześć i pół tysiąca. Na łono Kościoła katolickiego przyjęliśmy ze schizmy 5 dorosłych osób i dwoje dzieci. Zakończywszy misję postawieniem krzyża, pojechaliśmy jeszcze tego samego dnia do Wysokiego Mazowieckiego.

Wysokie Mazowieckie, (od 1 do 8 września).

Zaczęliśmy misję we czwartek na sumie. Ludzi zwaliła się i z obcych parafij cała masa. Kościół tak szczelnie był nabity, że można było chodzić po głowach, przynajmniej tak bezpiecznie, jak po okrąglakach na krakowskim rynku.

Kobiety stały po jednej stronie kościoła i w swych wzorzystych sukniach i krasnych chustach robiły wrażenie sfalowanego łanu dojrzałego zboża, pełnego maków, bławatów i kąkolu; zaś mężczyźni wyrośli po drugiej stronie świątyni. jak bukowy las, że aż jakaś siła dębowa szła od nich ku ambonie. A kiedy poczęli śpiewać, to ich niski, drgający bas haftował się na misternej kanwie cienkich kobiecych głosów, niby pomrók stada niedźwiedzi, lub stłumiony odglos dalekich gromów. Nic też dziwnego, że się żydzi poprzerażali i poczęli ze strachu mówić: „Nu, po co oni tu przyjechali, co oni potrzebują mówić, żeby ino nie było znowu jakiego szturchania“. Ale widząc, że sturchania nie ma i że lud trzyma się przez cały dzień w pobożnem skupieniu przy kościele, a wieczorem powraca spokojnie do domów, poczęli nas chwalić: „Nu, niech im Bóg błogosławi. że oni tak tym ludziom potrzebują ślicznie mówicz, oni są dobre...“. Dusze i serca, w całej parafji, rozkołysały się jak dzwony. Poprzychodzili na misję i spowiadali się nawet bandyci. Oto, kiedy misjonarz schodził pewnego wieczora z ambony, przystępuje do niego jakiś rosły, niby topola, chłopak, o groźnej, zdecydowanej minie bandyty i poczyna mu szeptać, niby pokornie, a jednak groźnie do ucha: „Proszę ojca misjonarza, nas tu jest pięciu w parafji takich największych grzeszników, jakie ino mogą być na całym świecie. Prosimy, żeby nas ojcowie misjonarze wyspowiadali, ale w zakrystji, albo w jakim kącie, bo mamy grzechy spisane i trzeba je będzie długo czytać“. Ależ dobrze, rzecze uradowany misjonarz i pocałował go w twardy kudłaty łeb. Wyspowiadaliśmy ich jeszcze tego samego wieczora i nazajutrz rychłym rankiem w skarbcu. Trzeba było widzieć te postacie, jakby żywcem wyjęte ze „Zbójców“ Szyllera, lub z Mickiewiczowej ballady. Odczytywali grzechy swoje z wielkich białych arkuszów, tak już, zdaje się, z przyzwyczajenia niby groźnie jakoś i szorstko, ale z takiem skruszeniem, tak im ręce drżały, że ledwie w nich papier utrzymać mogli i tak szczerze przyobiecywali poprawę, że aż nam łzy kapały

z oczu. Uściskaliśmy ich jak braci i płakaliśmy razem z nimi, podziwiając cudowną moc łaski Bożej.

Pewna matka przyszła do Misjonarzy i zwierzyła im się, że ma dwoje dzieci nieochrzczonych, pięcioletniego chłopczyka i trzyletnią dziewczynkę, żeby je też ochrzcić, ale po ciemku, bo jest uboga i niema dla nich odpowiedniej przyodziewy. Dobrze, niechże je przyprowadzi wieczorem, kiedy ludzie porozchodzą się do domów. Przyprowadziła, ale gdzieby serce, chociażby najuboższej matki ścierpieć mogło, żeby dziecko jej w tak uroczystej chwili nie było odpowiednio ubrane. Wystroiła je tak, żeśmy się aż zdziwili, każde miało śliczny bukiet w ręku, a jedno i drugie krzyczało tak głośno i z takim zapałem, że się odrzeka szatana i wszystkich spraw jego, że chyba djabli pozielenieli ze złości, a Aniołowie Stróżowie słuchali z rozkoszą, srebrnego, energicznego akcentu dwojga ubogich maleństwa.

Na łono Kościoła katol. przeszli ze schizmy jedna zamężna kobieta i piętnastoletni chłopiec.

Ks. dziekan Misiewicz życzył sobie, żebyśmy dla pracowników biurowych (tak nazwał inteligencję, żeby nie drażnić reszty parafjan), urządzili chociaż przez trzy dni nauki i spowiedź świętą wieczorem, ponieważ za dnia nie mają czasu, to raz, a powtóre w ten sposób prędzej się ich zwabi· Więc ks. Filip i ja oraliśmy w ostatnich trzech dniach tylko chłopską niwę, a ks. dyr. Odrobina krajał swym pługiem dusze pracownic i pracowników biurowych. Codziennie wieczorem o 7 miał do nich krótką naukę, potem błogosławieństwo i znowu naukę. Skutek był, dzięki Bogu, nadzwyczajny. Spowiadaliśmy do 12 w nocy, a wyspowiadali się wszyscy, począwszy od sędziego, bo Mazowieck jest miastem powiatowem, a skończywszy na tym, który bodaj z tej racji, że biuro zamiatał, miał prawo także nazywać się pracownikiem biurowym. Brała w tych ćwiczeniach bardzo przykładny udział także pani poseł Moczydłowska. Mąż jej, znany powszechnie do niedawna jako radykalny socjalista, wyspowiadał się również. Ale zdarzył mu się przytem i tro-

chę komiczny i zarazem bolesny wypadek. Oto wracając późną już nocą z kościoła do domu, wpadł w głęboki dół, jaki wykopano na cmentarzu kościelnym na krzyż. I gdyby był filozofem, byłby pewnie zawołał z uniesieniem: „ach, jaki ja głęboki", ale że filozofem nie jest, jeno para się jakąś inną mądrością, więc zwichnął sobie nogę, i byłby siedział w dole przez całą noc, gdyby ktoś inny nie był go zauważył, i nie wyciągnął stamtąd.

Wyspowiadało się około 4000 osób. Komunji świętej rozdaliśmy 10.000.

Zakończenie misji odbyło się wspaniale. Ludzi naszło jak mrowia. Pogoda sprzyjała ślicznie. Ks. dziekan aż płakał. A kiedy w końcowem przemówieniu zaproponował ludowi składkę na chorągiew z wyobrażeniem św. Wincentego à Paulo, ażeby po misji i Misjonarzach została w kościele stała pamiątka, zgodzili się chętnie. Zaraz przy wszystkich wyjściach stanęli mężczyźni z koszykami i chusteczkami od nosa i poczęli zbierać chojnie dawany grosz.

Na drugi dzień rano odwiózł nas ks. dziekan furmankami do odległego o dwadzieścia kilka wiorst Ciechanowca, już w djecezji wileńskiej.

Ciechanowiec, (od 11 do 18 września).

Ciechanowiec był niegdyś, w 16-tym jeszcze wieku, własnością Kiszków, z których Jan, kasztelan wileński, właściciel 70 miast i 400 wiosek, pierwszy wprowadził na Litwę Arjanizm, i był jego, zarówno na Litwie jak i na Podlasiu żarliwym opiekunem. Zmarł w r. 1592. Później przeszedł Ciechanowiec na własność Ossolińskich, a w końcu Anny z Sapiehów Jabłonowskiej, wojewodziny bracławskiej. Miały dawniej w Ciechanowcu i Siostry Miłosierdzia swój klasztor, jak pisze Baliński w swej „Polsce starożytnej pod względem historycznym i geograficznym". Ale obecnie klasztor ten już nie istnieje. Zachowała się natomiast murowana fara, w której ostatnio dawaliśmy misję. Mieszczanie Ciechanowieccy rządzili się prawem magdeburskiem. Odbywały się tam słynne

jarmarki na konie i woły, które jeszcze do dzisiejszego dnia ściągają licznych kupców z Gdańska, Drezna, Berlina i innych miast niemieckich. Miasto przedstawia dzisiaj bardzo smutny widok. Wszędzie sterczą zgliszcza i ruiny, albowiem podpalili je Kozacy, cofając się w r. 1916 przed Niemcami.

Proboszcz, ks. Julian Dudziński, człowiek nadzwyczaj serdeczny, ruchliwy i energiczny, ucierpiał bardzo wiele od bolszewików. Przez dłuższy czas pracował w przebraniu w lesie jako drwal. Obecnie zajmuje się parafją gorliwie i z pożytkiem. Utrzymuje własnem staraniem Sierociniec, gdzie znajduje całkowite utrzymanie i wychowanie przeszło 50 sierót. Zajmuje się gorliwie młodzieżą, która go kocha jak ojca i przyjaciela. Jest także muzykalnym i dyryguje orkiestrą, złożoną z członków Stowarzyszenia młodzieży.

Parafja liczy przeszło 4000 dusz, z tego wyspowiadaliśmy 3000, a Komunji świętej rozdaliśmy 8500.

Był tam w Ciechanowcu i jest jeszcze dotąd pewien murarz, który nie żyjąc z własną żoną, ukradł żonę swemu sąsiadowi i trzymał ją sobie w Warszawie. Pokrzywdzony żalił się przed nami, że sobie rady dać nie może z sześciorgiem dziatek, z których jedno jest jeszcze niemowlęciem, no i wstyd go wkońcu przed całą parafją. Biedaczysko aż płakał. Oburzyło nas to do żywego. Ale murarz nie tylko, że na misję nie uczęszczał, ale cośtam sobie pod nosem na nas wygadywał. Uderzyliśmy na tę szkaradę z ambony, oczywiście oględnie i nie wymieniając nazwiska. Murarz, widząc, że to nie przelewki, widocznie się przeraził, bo kiedy ks. proboszcz napisał mu list, żeby się stawił przed Misjonarzy, przybył w te pędy. Zapytany dlaczego tak postąpił, podał za powód to, że interesowany nie mógł żony wyżywić, więc on musiał się nią zaopiekować. Zaproponowaliśmy mu, żeby, kiedy jest taki miłosierny, zaopiekował się także, jeżeli już nie wszystkiemi, to przynajmniej jedną starą babą z pod ciechanowieckiego kościoła, żeby umieścił ją także w Warszawie i odwiedzał ją co pewien czas. Na to zrobił bardzo rzadką minę i stał zakłopotany, nie wiedząc co począć. Prze-

konywany, namawiany i straszony, przyrzekł, że się wyspowiada i że się już od misji poprawi. I dotrzymał słowa. Dzisiaj, jak nam mówił ks. proboszcz, żyje bardzo przykładnie ze swoją żoną, a tamta z Warszawy wróciła również do męża i do dzieci.

Krzyż na zakończenie misji postawiliśmy taki, że dąb nań przywiózł ks. proboszcz na dwóch wozach w 16 koni. Stawialiśmy go conajmniej ze trzy godziny. Ludzi zeszło się ponad dziesięć tysięcy. Słońce już zachodziło. Dziwnym trafem wiatr tak jakoś popędzał i poukładał chmury, że nadawały się w sam raz jak gdyby na tło dla ogromnego sękatego krzyża. I wyglądał krzyż, jeżeli już nie inaczej, to w każdym razie imponująco na tle rozdartej zwełnionej chmury oblanej jak gdyby krwią, blaskami zachodzącego słońca. A kiedy już zmierzch począł zapadać, zaczęły się i tłumy rozchodzić z pod krzyża do domów. Szły z jakiemś dziwnem szeptaniem i pogwarem na drogi, na sioła, niby fale, odbite od brzegu, i wracając ku morskim głębinom. Tak ongiś z pod krzyża na Kalwarji wracać musiały do domów wylękłe i pomieszane z mnóstwem zmartwychwstałych mar, oniemiałe rzesze.

Odjazd z Ciechanowca był oryginalny. Przed plebanję zajechał pojazd, zaprzężony w cztery tęgie gniadosze à la Chełmoński. A kiedyśmy ruszyli z kopyta, że aż śledziony grać poczęły w koniach, zaczęła i orkiestra, niezgrana jeszcze dobrze, sypać za nami jakiegoś marsza, że aż kamienie wyskakiwały z bruku. Siadłszy w Czyżewie na pociąg, wróciliśmy przez Warszawę do Krakowa.

W Krakowie popasaliśmy niedługo, bo coś nie więcej ponad dwa tygodnie i pojechalismy do Bydgoszczy.

Bydgoszcz, (od 16 do 29 października).

Nazywało się, że w Bydgoszczy ma być wielka misja. Dano nam też do pomocy czwartego konfratra, ks. Musiała. Na ogół mówiąc, misja w Bydgoszczy nie udała się, a nie udała się dlatego, że się udać nie mogła. Przedewszystkiem

mieliśmy za mało czasu. W parafji, która liczy z górą 23.000 dusz, byliśmy niecałe dwa tygodnie, co oczywiście nie z naszej winy się stało. Powtóre, nie przyjęto w całości naszego planu, jeno narzucono nam swój, w którym nie tyle chodziło o cichą, bożą pracę, ile raczej o jakąś odpustową detonację. Po trzecie, nie zgodzono się na to, żeby urządzić misję ściśle parafjalną, jeno ogólno miastową. Stąd nużąca praca po nocach, stąd pośpiech i niedokładności w spowiedziach, stąd brak potrzebnego skupienia i spokoju, a natomiast jakaś gorączka i ogólne zdenerwowanie. Po czwarte nakoniec, misja nie była dostatecznie rozgłoszona. Mówiono nam, że została zapowiedziana z ambony dopiero w niedzielę, poprzedzającą rozpoczęcie misji. Sami byliśmy świadkami, jak ludzie, wstępując przypadkiem na chwilę do kościoła, i widząc obcego księdza na ambonie, pytali ze zdziwieniem: „co to, misja, czy co?“ To też z początku ludzi było nie wiele, dopiero w połowie i pod koniec rozruszało się wszystko, ale wtenczas właśnie trzeba było już kończyć, a kończyć prawdziwie z żalem.

Przychodził z całego miasta i sąsiednich wiosek, kto chciał. Ile się ludzi wyspowiadało, nie wiadomo, Komunji św. rozdaliśmy pono 22.000.

Jeszcze raz powtarzam, że misja na ogół i po ludzku biorąc, nie udała się, lecz wcale nie chcę przesądzać tego, co łaska Boża po cichu w duszach ludzkich zdziałała.

Z Bydgoszczy wróciliśmy z powrotem do Krakowa. Atoli ks. Filip wyjechał zaraz tego samego dnia do Cudzynowic w Królestwie, na czterodniową pracę. Parafja tam bardzo maleńka, licząca zaledwie 800 dusz. Mówił dziennie po trzy, a nawet po cztery kazania.

Odpoczywaliśmy tak na Kleparzu, pomagając przytem trochę w kościele, blisko miesiąc, i dopiero w adwencie pojechaliśmy do Zarzecza na Śląsk Cieszyński.

Zarzecze, (od 27 listopada do 4 grudnia).

Mróz ścisnął mocno, ale że kościółek nie bardzo wielki, a ludzi było zawsze pełno, więc nie bardzo dokuczył. Zaraz na wstępie odczuliśmy różnicę pomiędzy duszą ludu na Śląsku, a duszą ludu, mieszkającego na wschodnich kresach Polski. Różnicę znać także i w typie fizycznym, który na kresach daleko jest piękniejszym. Na ogół biorąc, lud na kresach jest weselszy, swobodny i bardziej marzycielski, ale za to i lekkomyślniejszy, serdeczny, łatwo się spoufala i odznacza się dużą inteligencją wrodzoną. Natomiast na Śląsku, przynajmniej tam, gdzieśmy byli, jest lud więcej ociężały, jak gdyby ciągle czegoś niezadowolony, nieco szorstki i zimny w ogólnym typie, ale za to trzeźwy, myślący, karny, a nadewszystko nadzwyczajnie poczciwy. Pobożność na wschodzie, o ile zauważyliśmy, jest więcej uczuciowa, na Śląsku raczej wyrozumowana.

Ale mimo całej poczciwości, byli w Zarzeczu i tacy także, chociaż nie wielu, którzy odnosili się do misji z lekceważeniem i drwinkami. Pod koniec przyszli jednak i oni. Jeden z nich, przyszedłszy dopiero w ostatni dzień, przyznał się z prostotą jednemu z nas: „Ja, wiedzą, wielebny panie, szydziłech z misjonarzy, dzisiejoch przyszedł, ostatni dzień, teraz żałuja, bo było bardzo fajnie“.

Ks. proboszcz, wychodząc pewnego dnia rano pierwszy z plebanji, zastał oparte o drzwi dwa śliczne karabiny, które ktoś restytuował.

Podkreślić też należy, że nauczycielstwo w Zarzeczu uczęszczało przykładnie na misję i razem z dziećmi przystępowało do Komunji świętej.

Wyspowiadało się około 2.000 osób, Komunji rozdaliśmy ponad 5.000.

Misją w Zarzeczu zakończyliśmy szereg misji w r. 1921, i ściągnąwszy pługi z pola, poszliśmy sami na dłuższe leże zimowe.

Wypadałoby jeszcze zrobić krótki bilans za cały ten ubiegły rok, ale ponieważ obecny dyrektor naszej grupy,

ks. Dudek straszy mnie, że Pan Bóg pokarał starego Dawida za statystykę, więc i ja jej się — przynajmniej na ten raz — trochę boję. *Ks. Sylwester Graczyk.*

Z wizyty pasterskiej Najprzew. ks. biskupa Bragi w Prudentopolis.

Z początkiem września zwrócił się Najprzew. ks. Biskup do mnie z zapytaniem, czy nie mógłby zjechać z końcem miesiąca z wizytacją do Prudentopolis, dodając zarazem, że jeszcze bliżej oznaczy telegraficznie swój przyjazd. Naturalnie odpisałem mu zaraz, że z niecierpliwością oczekujemy tak dostojnego gościa. Po dwóch tygodniach, na trzy dni przed jego przyjazdem dostaję telegram, że zjeżdża do Prudentopolis dnia 24 września wprost via Imbituva. Wobec takiej wieści zabraliśmy się zaraz rano do przyjęcia; Brazyljanie i Niemcy zaczęli się krzątać koło swej matrix (kościół paraf.), który restaurowano na zewnątrz; Polacy zaś koło swego ukochanego kościoła nad wykończeniem muru, który postawiliśmy wzdłuż całej kwadry na froncie kościoła.

Przyjazd był naznaczony na sobotę wieczór. Ludzie pomimo ustawicznych deszczów stawili się bardzo licznie i nic dziwnego, boć to już prawie 15-ty rok dobiegał od ostatniej wizyty pasterskiej. Każdy był ciekaw widzieć swego Arcypasterza. Jeszcze więcej przybyło z powodu bierzmowania, gdyż jest zwyczaj w Brazylji, że Biskup bierzmuje i małe dzieci. Ks. Biskup wyruszył z Kurytyby według ułożonego planu; w piątek stanął w Ponta-Grossie, aby nazajutrz podążyć automobilem do celu, ale deszcze pokrzyżowały jego zamiary. Drogi z powodu słoty stały się niemożliwemi dla prostych wozów, a tembardziej dla autów. Z wielką biedą i przypadkami w sobotę zajechał pózno w noc do Imbituvy. W drodze kilka razy musieli auto naprawiać; wreszcie, żeby nie nocować na kępie, bo auto co chwilę grzęzło, najęli wóz i tak z biedą przyjechali do Imbi-

tuvy, odległej o 42 klm. od Prudentopolis. Tu przenocowali w hotelu, bo ks. proboszcz nie miał odpowiedniego pomieszczenia. Wczas rano wyruszył ks. Biskup naczczo ze swym kapelanem, jednym z księży ze Zgrom. Serca Marji, autem z zamiarem, że na jedenastą godzinę stanie w Prudentopolis. Chęci były dobre, ale cóż kiedy droga była jeszcze gorsza, niż przed Imbituvą. Auto warczało i całą siłą orało drogę, od czasu do czasu odmawiało posłuszeństwa, nie pomogły łańcuchy, ani wysiłki i spryt dwóch szoferów, wobec gliniastego terenu. Wreszcie auto ugrzęzło na dobre, bo się coś popsuło, ale całe szczęście, że już blisko Prudentopolis na t. zw. Mandury, dokąd wyjechałem autem na spotkanie JEks. Przywitawszy ks. Biskupa, zabrałem go na swoje auto i jazda do domu, bo już było po drugiej godzinie popołudniu.

W drodze oświadczył mi ks. Biskup, że jeszcze jest naczczo i chce odprawić mszę św. polową dla wszystkich bez różnicy na obrządek na rynku przed kościołem brazylijskim. Tymczasem ks. Szkopan, który także był wyjechał automobilem na spotkanie, po powitaniu prosił ks. Biskupa, aby najpierw wstąpił do cerkwi, bo lud już długo czeka z daleka. Dowodził, że taki jest zwyczaj w „Hałyczynie“, że biskup łac. w czasie wizyty zawsze najpierw wstępuje do cerkwi. Wysłuchawszy tych wywodów, ruszył ks. Biskup dalej w drogę. W drodze przedstawiłem J. Eksc., że to jest niemożliwem, aby poszedł za jego życzeniem, że ściągnąłby tem na siebie odium władz lokalnych, oraz i ludu, dając pierwszeństwo Rusinom. Rozważywszy to, kazał ks. Biskup stanąć przed cmentarzem, zawołał ks. Szkopana i oświadczył mu, żeby pojechał najpierw do cerkwi i wyprawił lud na rynek. Wówczas jegomość zaczął się opierać i kręcić, ale J. Eksc. nie zważał na jego argumenta, dał mu znać indirecte, że jest Ordynarjuszem i że jest taka jego wola i życzenie, zatem niech jedzie i wyprawi lud w procesji na wspólne powitanie i mszę polową. Pojechał jak zmyty ku wielkiemu

niezadowoleniu swoich, a zadowoleniu naszych. Nasze auto czekało cierpliwie dalej, dopóki Ruś nie stanęła na Rynku.

Przed kościołem na rynku czekał ks. Krauze z ludem i władze municypalne, bo na ulicy nie dało się ustawić procesji z powodu zbyt wielkiego błota. Do baldachimu stanęli: prefekt municipium, sędzia, delegat policji i prokurator. U bramy powitali dostojnego gościa ks. Krauze, Siostry obydwóch obrządków, oraz ojcowie miasta, następnie ruszył pochód przy dźwięku muzyki do drzwi kościelnych, tu zatrzymała się procesja. Na prędce ustawiono ołtarz i na nim pod baldachimem odprawił ks. Biskup mszę św., otoczony niezliczoną rzeszą wiernych. Po mszy św. wygłosił kilka słów do ludu, zaznaczając, że z obecną chwilą rozpoczyna wizytę pasterską. Po mszy św. odprowadziliśmy go procesjonalnie wśród muzyki i śpiewu do naszej rezydencji, było już dobrze po 4 godzinie.

Porządek wizytacji był następujący: o 9 msza św. ks. Biskupa i nauka, którą zawsze głosił po ewangelji, o 3 ciej Bierzmowanie, a o 7 wieczorem druga nauka i błogosławieństwo Najśw. Sakr. w monstrancji. Msze święte po większej części odprawiał w kościele brazylijskim, w poniedziałek po przyjeździe celebrował w polskim, a w trzecim dniu w cerkwi, gdzie po mszy św. i nauce w czasie wystawienia Najśw. Sakr. wyśpiewywali Rusini o Ukrainie. Osobno jeszcze raz odprawił mszę św. w cerkwi prywatnie dla zakonnic ruskich, których jest reformatorem na ziemi parańskiej. W wolnych chwilach zwiedzał szpital i szkołę Sióstr, o ile mogłem spostrzedz, wszędzie bardzo dobrze się wyrażał o ich dziełach i poświęceniu. Do Bierzmowania było u nas przeszło 2000 osób, byłoby daleko więcej, ale deszcze przeszkadzały, były dnie, że lało jak z cebra, wtedy J. Eksc. jeździł autem z plebanji do kościoła. Wizyta w mieście trwała od 25 września do 6 października. Ukończywszy pracę na miejscu, rewizytował wszystkich, którzy go wizytowali, a wizytom tym nie było końca.

Miło przeszedł nam czas w czasie pobytu J. Eksc. choć

pracy mieliśmy po uszy, bo prócz biskupiego kapelana nikt z konfratrów nie przybył nam z pomocą. Na Thomas Coelho wypadł odpust, na Rio Claro miał być, inni mieli jakieś tam ważne zajęcia, więc mimo próśb nadchodziła tasama telegraficzna wiadomość: „Imposivel". Od wczesnego ranka po mszach św. siedzieliśmy kamieniem w konfesjonale, żeby te rzesze wyspowiadać, które czekały nieraz po dwa dni na Bierzmowanie. Dzielnie pomagały nam Siostry pisząc kartki do Bierzmowania i odbierając jałmużny z okazji tegoż na cele djecezjalne. Ks. Krauze wiele też miał sposobności borykać się z portugalszczyzną, jużto rozmawiając z J. Eksc. już też w konfesjonale. Spodobał się bardzo ks. Biskupowi. Prudentopolis przypadło ks. Biskupowi do gustu, spodobało mu się u nas. Ludzie mile go wspominają, ujął sobie wszystkich nawet najskrajniejszych swem wzięciem, prostotą w naukach i ojcowskiem sercem. Do spowiedzi poszło bardzo dużo mężczyzn Brazyljan, bo ks. Biskup nikogo nie dopuszczał nawet na ojca przy Bierzmowaniu, kto się nie spowiadał. Sakrament Bierzmowania jest u Brazyljan w nadzwyczajnem poważaniu i cenie, więc nikt się nie uchylał od spowiedzi, chociaż niektórzy już dawno jej nie praktykowali. Kazania i nauki głosił ks. Biskup zawsze z wielkim zapałem i gorliwością, a przytem mówił bardzo popularnie i trafnie, co jest nader rzadkością u kaznodziei brazylijskich przyzwyczajonych po największej części do kwiecistych panegiryków.

Dnia 6 października odprawiwszy wczas rano mszę św. w polskim kościele, wyruszył ks. Biskup w towarzystwie ks. Komandra i mojej osoby wózkiem krytym z Prudentopolis w kierunku północnym ku Herval-Theresina na dalszą wizytację. Pierwszą stacją miał być Herval. Miejsce kapelana zająłem ja, a ks. Komander, który w ostatnich dniach wizyty przybył do Prudentopolis, bo objeżdżał swych parafjan po lasach, objął rolę proboszcza. Na Esperança zwiedził ks. Biskup naszą kaplicę, cerkiewkę ruską i dom, w którym Siostry ruskie od nowego roku miały objąć szkołę. Droga przez linję Parana była licha, podobna zupełnie do tej, którą

ks. Wizytator przebył w miesiącu lutym, na szczęście tymczasem obyło się bez żadnego przypadku. Szczęśliwie dojechaliśmy do Dominika Zabawy, gdzie i ks. Wizytator gościł. Tu pokrzepiliśmy się trochę zimnym indykiem zabranym z domu, nabrawszy sporą ilość pomarańczy na wóz, ruszyliśmy dalej ku Barra de Areia, gdzie już ludność tak polska jak i ruska czekała na nas przed kaplicą wraz z dziatwą szkolną. Wóz zatrzymał się trochę, aby konie wytchnęły, a ks. Biskup tymczasem zwiedził kaplicę i szkołę i udzielił wiernym błogosławieństwa. Po krótkiej pogawędce z ludem ruszyliśmy w dalszą drogę, bo się już dobrze miało ku wieczorowi, żeby jeszcze przed nocą stanąć w Hervalu u gościnnego dyrektora kolonji pana hr. Biscucia, Dalmatyńca, gorliwego katolika. Przybywszy szczęśliwie do miejsca, pan dyr. podejmował J. Eksc. z prawdziwą polską gościnnością, sam wszystko przygotował i wraz kolonistami ustroił kapliczkę. Nazajutrz zebrało się sporo Polaków i Brazyljan, prawie wszyscy przystąpili do Sakramentów św. Do Bierzmowania było około 100 osób. Resztę dnia spędziliśmy mile w towarzystwie pana domu. Bawił nas doskonale swą znajomością różnych języków, bo to prawdziwy poligota, znający ich coś cały tuzin, oraz swym dowcipem, bo to bywalec, zna prawie cały świat. Zna doskonale hr. Orłowskiego, naszego ministra, jest jego przyjacielem.

W sobotę dnia 8 października wyjechaliśmy w dalszą drogę do Hervalsinho, centra kolonji Senador Corrca, gdzie liczba Polaków dochodzi do 160 rodzin. Dzień był przepiękny, to też wyjechaliśmy wozem odkrytym, słońce prażyło niemiłosiernie, ale zato mogliśmy podziwiać wspaniałe widoki górskie, oraz bujną florę tej strefy. Droga dobrze utrzymana cały czas wiła się nad jarami i przepaściami, nieraz tuż nad urwiskiem. Objechaliśmy prawie dokoła majestatyczną górę zwaną Trombudo, dalej po lewej stronie minęliśmy jej braciszka stożkowatego t. z. Trombudinho, wreszcie przejechawszy przez łańcuch górski „Serra das

Gralhas" dobiliśmy po 4 godzinach jazdy już pod wieczór do kolonji.

Hervalsinho rozpościera się między dwoma rybnem rzekami Sao Francisco i Sao Franciscinho u podnóża pasma gór Esperança. Ziemie są bardzo urodzajne, udają się na nich wszystkie płody europejskie, przedewszystkiem zaś ryż, trzcina cukrowa, tytoń i winorośl. Kolonistom nie brakuje prawie nigdy chleba, ale brak im księdza oraz szkoły polskiej.

U bramy ogrodzenia kościelnego zebrał się licznie lud w procesji. Ks. Biskupa powitał młody dzielny śpiewak mową oraz chlebem i solą. Dziewczynki sypały kwiaty pod nogi J. Eksc., a chłopcy wystrojeni w szarfy polskie i krakuski, postępowali na czele, niosąc sztandar polski i inne chorągwie. Oczom nie chciało się wierzyć, że w tym odległym zakątku od świata cywilizowanego widzi się dziarskich Polusów, że tam, gdzie jeszcze przed 13 laty śpiewał Indjanin poganin swe ponure i smętne pieśni na cześć swego bożyszcza, dziś rozlega się nasza ukochana pieśń „Serdeczna Matko".

Nazajutrz rano zebrała się cała tutejsza Polonja. Przybyli także licznie i Brazyljanie, boć w tej stronie jak Parana Paraną, nie było jeszcze biskupa. Przed kolonizacją była to prawie niedostępna siedziba tapira, tygrysa i Indjan z plemienia Guarany. Ks. Biskupa gościnnie podejmował nauczyciel rządu federalnego Rudolf Malström, z pochodzenia Szwed, ożeniony z Brazyljanką. Za mieszkanie służył nam opuszczony domek, dawna apteka z czasów kolonizacji. Na zewnątrz przedstawiał się ubogo i obdarty, ale zato było w nim dużo serca i gościnności. Kościółek jak i wszędzie po naszych kolonjach drewniany, ubożuchny, wszystkiego brakuje, ale przytem jest schludnie utrzymany. Ludzie na ogół dobrzy, wiara w ich sercach jeszcze nie wygasła, choć już różni fałszywi prorocy ze stolicy zaglądali, niosąc im nowoczesne hasła przez skrajne pisma i broszury z obozu lewicy. Toteż żniwo było obfite, pomimo, że od dwóch tygodni dopiero ks. Komander między nimi apostołował. I Brazyljanie nie

dali się powstydzić pociągnieni dobrym przykładem naszych, spowiadali się wszyscy bez różnicy, bo to ludzie w gruncie rzeczy dobrzy, a przytem z wiarą. W lasach widzi się doskonale tę różnicę, jaka istnieje pod względem religijnym i moralnym między t. zw. Kaboklem, t. j. mieszkańcem lasu, a mieszczaninem zepsutym nowoczesną przekwitłą kulturą.

Wizytacja w Hervalsinho trwała dwa dni. Stamtąd wyprowadziliśmy się 11 paźdz. do czysto brazylijskiej osady Kolonja Velha, dawnej osady francuskiej jeszcze z czasów imperjum brazylijskiego. Dziś niema tam już ani śladu po Francuzach, chyba, że się spotka Brazyljanina o przekręconem nazwisku — to wszystko.

Kolonja Velha (Stara Kolonja)! Ale jak się tam dostać to pytanie, nad którem sobie łamali Polacy głowy. Najpierw że mało kto ją znał, a powtóre z opowiadań Brazyljan wiedzieli tylko tyle, że można tam pojechać wodą lub drogą tropową, t. j. ścieżką leśną. Zaczęto radzić i debatować. Zawołano jakiegoś Brazyljanina. Tubylec ułożył naszą marszrutę razem z innymi ojcami kolonji w ten sposób, że pojedziemy 8 kilometrów konno przez jedną linję (drogę) kolonji aż do rzeki Sao Francisco szerokiej do 20 m., a potem łódką aż do Kolonja Velha. Dito feito — jak uplanowano tak też i zrobiono. W poniedziałek zaledwieśmy obiad zjedli, nasi poczciwi koloniści przyprowadzili nam co najlepsze konie‘ pod wierzch a dwa specjalne do niesienia naszych bagaży· Ks. Biskupowi wyszukali ładnego siwka, ja wybrałem sobie muła, ku pociesze naszych towarzyszy, którzy z powrotem mieli zabrać nasze konie. J. Eksc. chociaż go już gniecie 6-ty krzyżyk, dosiadłszy swego rumaka, jechał zawsze dziarsko na czele, bo trzeba wiedzieć, że to Riograndczyk z miasta Pelotas, a każdy Brazyljanin, pochodzący ze stanu Rio Grande do Sul to kawalerzysta zawołany, coś w rodzaju Kozaka.

Po dwugodzinnej jeździe wśród żaru słońca prawie tropikalnego przez kolonje nie drogą, ale lichą ścieżyną po wertepach nieraz karkołomnych, stanęliśmy w porcie rzeki Sao Francisco, który tem się różni od każdego innego miejsca

na brzegu, że jest ładniejszy przystęp do wody i że do palika niezdarnie wbitego w ziemię jest przywiązana długa łódka, wyciosana z jednej kłody z cedru (cedrela odorata), niemającej nic wspólnego z cedrem libańskim.

Tu wypoczęliśmy sobie nieco w domu komendanta tego portu. Ks. Komander ochrzcił dwoję dzieci brazyljańskich z sąsiedztwa, a J. Eksc. tymczasem gawędził sobie z mieszkańcami domu, usiadłszy sobie na belce służącej do poruszania stępy nożnej do tłuczenia kukurudzy. O sprzęt, który my nazywamy krzesłem, nie pytaj, takich zbytków jeszcze nie znają mieszkańcy lasów; najwyżej, jeżeli się coś podobnego spotka do siedzenia, to jest stołeczek zazwyczaj na trzech nóżkach wysokości 30 cm.; na tym meblu siadają starzy, młodzi siadają sobie na pięty po prostu i tak spędzają na pogawędce nieraz całe godziny, racząc się kolejno szimaronem [1]).

I tu tego przysmaku nie zabrakło — hojnie częstował gospodarz wszystkich kują [2]) z szimaronem, począwszy od J. Eksc. a skończywszy na ostatnim compadre (kum). Ponieważ zaś liczba gości była większa niż zwykle, więc dwie kuje były w obiegu. Pili wszyscy, boćto ulubiony trunek Kabokli (mieszkańców lasów) i naszego kolonisty. Pił ks. Biskup, pił gospodarz i kolejno jeden po drugim wszyscy goście prócz mnie. Ks. Komander, zdaje mi się, tym razem odniósł rekord kujowy, zachwalając go na wszelkie sposoby. Tymczasem kiedy tak zawzięcie w cieniu pod płotem pito, w porcie gorliwie przygotowywał nasz łysobosy kapitan łódkę do odjazdu. Przybywszy do portu, policzył i zmierzył i zważył nas okiem dobrze i nasze bagaże. Widząc żeśmy nie ułomki, a w dodatku, kiedy się dowiedział, że nam towarzyszy pan nauczyciel z polecenia dyrektora kolonji, pokiwał

---

[1]) Woda z zaparzonych suchych liści z Hervy (herbata brazylijska).

[2]) Kuja – to naczynie z suchej dyni małego gatunku, nieraz bardzo ozdobna, służąca do picia szimaronu zapomocą bomby (rurka na końcu rozszerzona w kształcie łyżki z dziureczkami).

głową i oświadczył, że jedna łódka nie wytrzyma tego wszystkiego. Wobec tego postanowił dwie łódki razem związać, ale czem? W domu nie było ani powroza, ani łańcucha, ni rzemienia, więc po rozum do łysej głowy. W oka mgnieniu przyniósł kawał suchego, ale giętkiego lianu i tem związał łódki do jazdy. Pownoszono kufry i kuferki, jako siedzenie służyły nam dwie deski łupane z pinoru, równające się szerokością sztachecie. Wreszcie wyszedł rozkaz siadać „prompto". Powoleńku, aby uniknąć kąpieli, wśród śmiechu i dowcipu usadowiliśmy się z wielkim trudem tembardziej, że z nami miała popłynąć żona naszego pierwszego oficera z dwojgiem dzieci, bo biedaczka chciała dać wybierzmować owe maleństwa na kolonji Velha. Usadowiwszy się jako tako, na drugie słowo „prompto", łódki nasze sterowane przez podkasanego oficera odbiły od brzegu i jazda. Słońce już się prawie chowało za wysokim brzegiem, było blisko $^{1}/_{2}$5-tej. Po chwili jazdy wspaniały widok roztoczył się przed naszemi oczyma, których już nie raził żaden refleks z powierzchni wody. Krajobraz prześliczny, brzegi prawie że strome, wszędzie pełno różnych drzew lianów i kwiatów zieleń o jakiej się nawet nie marzy. Po ćwierć-godzinnej jeździe bez żadnych kołysań, bo powierzchnia wody była gładka jak lustro, dojechaliśmy do miejsca, gdzie nasz Sao Francisco połączył się ze swą siostrzycą, większą rzeką zw. Rio das Marecas. Złączywszy się ze sobą, obydwie tracą swe nazwy i przybierają imię Rio Bello (Piękna rzeka). Naprawdę w całem tego słowa znaczeniu przystoi ta nazwa tej rzece, bo jeżeli Sao Francisco cudny, to przepiękna Rio Bello ma coś uroczego w sobie, i wywiera dziwny urok na każdego. Chyba rajskie nie były piękniejsze od niej. Szerokością przewyższa może Wisłę pod Krakowem. W korycie pełno malowniczych wysepek, dno jest kamieniste, to też woda czysta jak kryształ, miejscami płynie rwąco, brzegi są podobne do kolorowych kobierców złożonych z najrozmaitszych odcieni kwiatów. Ptactwa wodnego i ryb moc, nie brak tu też i krokodyla. Tuż przed naszem przybyciem

zapuścił się jeden aż do Sao Francisco i tam znalazł śmierć. Rio-Bello dla malarza i poety, to niewyczerpane źródło motywów.

Upojeni i zachwyceni tym cudem natury, dotąd nam nieznanym, zaczęliśmy wśród tej ciszy nucić nasze piękne pieśni na dwa głosy, przypominając sobie błogie chwile spędzone gdzieś w dolinie Eljasza lub na zamku Tenczyńskim. Kiedy nam zabrakło polskich, śpiewaliśmy łacińskie, niemieckie, a nawet i ruskie. Ks. Biskup pomagał nam od czasu do czasu, o ile sobie jeszcze jaką przypomniał z czasów studenckich w Hamburgu. Tak jadąc rozśpiewani, aniśmy się spodziali, kiedy nam zniknęła z oczu nasza Rio-Bello. Nagle wjechaliśmy w ogromną rzekę Ivahy, jedną z największych rzek parańskich do 200 m. szerokości. Brzegi jej więcej płaskie, widnokrąg szerszy, ale mniej w niej poezji, Jadąc coraz więcej w dół spotykaliśmy od czasu do czasu na brzegu łódkę przywiązaną, a dalej za portem widać było chatę po większej części zamieszkaną przez Niemca, który w spekulacji swojej na przyszłość zajął wiele terenu i wygodne miejsce nad rzeką. Po półgodzinnej jeździe stanęliśmy prawie przy zachodzie słońca w porcie Colonia Velha zupełnie podobnym do portu Sao-Francisco, z różnicą tylko, że tam brzeg był płaski, a tu stromy, tak, że z trudnością wyciągnąłem J. Eksc. na brzeg. Wyprostowawszy nieco nogi, ruszyliśmy już prawie o mroku przez las ścieżką i przez kładki z okrąglaków do naszej gospody. Po 5 min. drogi weszliśmy na otwarte podwórze, na którem dopalało się ogromne ognisko. Chata kształtu czworoboku sklejona z łupanych desek i pokryta gontami przybijanemi gwoździami, bo w t. zw. (sertao) sertongach (lasy dziewicze w głębi kraju) tylko je przywięzują ljanami. Przed progiem tego pałacu powitał ks. Biskupa gospodarz, niejaki Felisbuio dos Santos, syn naszego bosego kapitana.

Wszedłszy do wnętrza domu, o dziwo! niezwykły przedstawił nam się widok. Oto ustawione trzy łóżka czekają na gości, co u brazyljan leśnych, t. zw. Kaboklów jest

prawie rzadkością, biedacy kontentują się skórą baranią i siodłem końskim. Skóra barania to siennik, siodło to poduszka, a kocykiem t. zw. pala — rodzaj chusty z dziurą w środku, którą jeździec wkłada na siebie w czasie deszczu i zimna.

Wracam do naszych łóżek. Łóżka te, to prycze ustawione na widełkowatych palikach wbitych w ziemię, na tych widełkach spoczywały dwa drążki, na nich jako siennik miały służyć deski łupane pokryte twardą rogówką z sitowia, pod głowę przyrządzono maleńkie poduszki z kurzych piór — o nakryciu ani mowy. Kiedy się dobrze ciemno zrobiło, gospodarz zapalił maleńką lampkę naftową — ja zaś, żeby naszej komnacie bez okien nadać więcej uroczystego tonu, wyjąłem świeczkę z kufra i ustawiłem ją nad naszemi głowami na belce, która zabezpiecza dom od rozpadnięcia się w czasie burzy. Obrawszy każdy swoje miejsce, posiadaliśmy na tych tapczanach, nota bene tak wysokich, że swobodnie można było bujać nogami w powietrzu. Zadowolony gospodarz zaczął częstować wszystkich papierosami, począwszy od J. Eksc. a skończywszy na ostatnim kompadrze; następnie podano czarną kawę w blaszanych kubkach. Tymczasem gosposia tuż obok w kuchni kręciła się około kolacji. Biedaczka przygotowała co miała i co umiała: czarną fasolę (fiżon), kilka jaj na twardo i kurę także na twardo. Skończywszy swój kunszt kucharski, gospodarz zaprosił nas do kuchenki, do stołu brudnego, umocowanego do ławki. Ks. Biskup zrezygnował z kolacji, i wogóle przez całe półtrzecia dnia, tylko coś dwa, lub trzy razy zasiadł z nami do stołu. Po kolacji zmówiwszy pacierze, zabraliśmy się zaraz do urządzenia naszego leżajska. Ks. Biskup więcej wprawny od nas, i lepiej wyekwipowany, urządził się jako tako na swym tapczanie. Ja radziłem sobie trochę kocykiem, który zabrałem ze sobą i kapą od deszczu i tak nawpół rozebrany kładłem się na to madejowe łoże — rogóżka naturalnie dobrze mi się odbiła na grzbiecie. Najgorzej wyszedł ks. Komander, bo całkiem nieprzygotowany puścił się w tak

daleką drogę. Co wieczora zamiast się rozbierać, robił toaletę, ubierał się w prochownik, wkładał kapelusz na głowę i tak się kładł na swój tapczan, bo noce były zimne (nawiasem mówiąc, można było z wnętrza dobrze obserwować bieg gwiazd). Przy tem wszystkiem humor był złoty i nie brakowało na konto tego różnych dowcipów. Co rana z ręcznikiem w ręku chodziliśmy obydwaj do pobliskiej rzeczki, żeby się umyć, dla ks. Biskupa postarałem się o wiadro, które mu służyło za miednicę. Pierwszego dnia rano zacząłem szukać sam ścieżki do kaplicy, bo gospodarz jeszcze spokojnie spał za naszą ścianą z całą rodziną. Ścieżek było coś pięć. Po kilkakrotnem zapędzeniu się to w lewo to w prawo, nareszcie znalazłem prawdziwą do kaplicy, leżącej na wyniosłem pagórku wśród dziewiczego lasu w odległości 400 m. od mieszkania. Na froncie stoi maszt z obszarpaną chorągiewką, jako relikwia z przeszłej festy. Tuż obok cmentarz w największem opuszczeniu z połamanym płotem; mieszkańcy nie troszczą się wiele, są bowiem pewni, że ich nieboszczyki stamtąd nie pouciekają. Otwieram drzwi kaplicy i o zgrozo! Smutny przedstawił mi się widok. Na podłodze pełno śmieci i skorup z gniazd ós. Na ołtarzu istny magazyn różnych figurek z terrakoty i wosku, po większej części połamanych; świeczniki poprzewracane, świeczek stearynowych niedopalonych pełno w każdym kącie — jednem słowem istna stajnia Augeasza. Wobec tego, że nie miałem nikogo pod ręką, nie pozostawało nic innego, jak zabrać się zaraz do roboty i jako tako ten domek boży uprzątnąć, bo za kilka godzin mieliśmy przyjmować J. Eksc. i miała być msza św. Uporządkowałem najpierw ołtarz, o ile to było możliwem, zamiotłem podłogę i zacząłem dzwonić na mszę św. Powoli zaczęli się ściągać wierni z bliska i z daleka, przyszła nawet i grupa Indjan z plemienia Guarany ze swym kacykiem, który jedyny jako tako włada językiem portugalskim i jest pośredniczącym między swymi rodakami a okolicznymi mieszkańcami. Tuż za kolonją Velha w niewielkiej odległości jest osada Indjan. Takich osad ma ks.

Komander w swojej parafji coś aż trzy. Indjanie ci to ludzie spokojni, uprawiają trochę kukurudzy, fiżonu (czarnej fasoli) i trzciny cukrowej. Mieszkają w szałasach lub w namiotach bardzo prymitywnych. Najulubieńszem zwierzęciem dla nich to pies, bo oddaje im wielkie przysługi w polowaniu, które jest ich najgłówniejszem zajęciem. Polują na zwierza w stroju adamowym z strzelbą lub łukiem, używając strzał zatrutych, łachmany swe zawieszają tymczasem gdzieś na krzaku, by się nie podarły. Matki noszą swe dzieci na plecach, przytrzymując je pasem z kory drzewa, spadającym z czoła na grzbiet. Pijaństwo to ich ogólna główna wada, która ich więcej dziesiątkuje niż ostatnia grypa.

Odprawiwszy msze św., zabraliśmy się do spowiedzi, bo o godzinie 9 według rozkazu miał celebrować ks. Biskup a potem bierzmować. Ludzi przez obydwa dni nam nie brakowało, przybywali biedacy i z daleka; jedni przyjeżdżali konno, drudzy łódką to z chrztami, to z ślubami, a najwięcej do bierzmowania. Nikt z nich nie odszedł do domu bez pokrzepienia duszy swojej. Było to wielką pociechą dla ks. Biskupa i nas Misjonarzy. We czwartek 12 pazdz. po skończonych mszach św., pożegnaliśmy kolonję Velha i naszego gościnnego gospodarza, bo tegoż samego jeszcze dnia wieczorem mieliśmy być na kolonji Apucarana. Dwie drogi mieliśmy do wyboru, konno przez lasy albo znowu łódką, ale tym razem w górę rzeki Iwahy. Zdecydowaliśmy się na łódkę, spodziewając się, że podróż znowu będzie podobnie romantyczną jak pierwej.

Bagaże nasze włożono w jedną łódkę, a my powsiadaliśmy do drugiej na tych samych rogóżkach i tapczanach rozpostartych na dwie łódki i jazda. Zrazu było nam przyjemnie, było trochę pochmurno i słońce nas nie piekło, ale gdy się popoludniu wygryzło i zaczęło nam przypiekać, podróż stawała się coraz to przykrzejsza i nużąca, odechciało nam się śpiewać, ba nawet i mówić. Po drodze zaraz z początku wstąpiliśmy do pewnego Brazyljanina, którego żona razem ze swoim kompadrem (kumem) dzielnie sterowała

naszą łódką. Na brzegu wyprostowaliśmy nasze pedały, amatorowie szimaronu wypili kilka kujek, nie wyłączając i J. Eksc. Wioślarka pozostała w domu pilnować ogniska domowego, a jej miejsce zajął jej barczysty z bielmem na oku małżonek, doskonały komik. Takiego nam było potrzeba, bo woda na rzece Iwahy była wielka, miejscami trzeba się było przedzierać przez zarośla, kanały rwące coś w rodzaju porochów. Nieraz zdawało się, że naszą łódkę porwie prąd, że nie wyjdziemy cało. Przy pomocy Bożej szczęśliwie po ośmiogodzinnej jeździe w górę rzeki, dobiliśmy już przy zachodzie słońca do portu apurańskiego na ziemi pewnego Niemca Ernesta czy tam Alfreda. Tu czekała już na nas furmanka od samago południa. Ulokowawszy się z biedą na wozie z powodu naszych bagaży, ruszyliśmy co koń mógł wyskoczyć góra nie góra ku Apukaranie odległej o 12 km. Szybko przejechaliśmy górzysty teren, zdawało się, że raz dwa staniemy u celu. Tymczasem nieszczęście chciało na 3 km. od Apukarany spadła nam obręcz z koła. Całe szczęście, że noc była księżycowa, to też robota szła raźno w dodatku nawinął się i kowal. Poreperowawszy nasz wehikuł furman jechał ostrożnie, a każdy z boku uważał na koło, czy znowu przypadkiem obręcz nie spada. Był to czas posuchy, a trzeba wiedzieć, że brazylijscy synowie Hefajsta nie przykręcają obręczy śrubami jak w Europie. Po kilkominutowej jeździe zauważyłem, że obręcz spada po mej stronie. Krzyknąłem na furmana i znowu rozpoczęła się robota. Nabijaliśmy kijami, bo kamieni nie było w tem miejscu. Tak pobijając kilka razy, wreszcie ku naszej radości dojechaliśmy do rzeczki Apukarany, którą wpław musieliśmy przejechać bo most był w robocie. Tu zatrzymał furman na chwilkę konie, koła napęczniały i tak szczęśliwie zajechaliśmy przed plebanję, dawną siedzibę XX. Werbistów. Z daleka wygląda nie najgorzej, w rzeczywistości to austerja niewykończona dziś już rudera. Przed naszem przyjazdem p. dyrektor kolonji p. Bisucia, kazał naprędce kolonistom urządzić jeden pokój, ustawić stół i trzy łóżka, żebyśmy mogli spokojnie noc spędzić

po takich ciężkich tarapatach. Przygotowano też i kolację choć skromną, bo nikt już nie przypuszczał, że tak późno zjedziemy.

Pokrzepiwszy wprzód nieco nasze siły, bo już daleko było od rannej czarnej fasoli na kolonji Velha, każdy czemprędzej oglądał się za łóżkiem, aby po tylu bezsennych nocach raz wyciągnąć swe kości. Zasnęliśmy wszyscy smacznie, ale nienadługo, bo nadeszło pod nieogrodzoną plebanję stado koni z dzwonkami u szyji. Jeden z nich, nie mając względu na nasze znużenie, ni na dostojnego gościa, ulokował się gdzieś blizko plebanji na murawie i całą noc nam wydzwaniał. Naturalnie o spaniu nie było już mowy. Nad ranem udało mi się tego psotnika wygnać, ale ponieważ już dnieć zaczynało, więc chcąc nie chcąc, trzeba było wstawać, bo na wizytację był tylko przeznaczony jeden dzień, a ludzi miało być dużo.

Kościółek jest tu dość obszerny, pod względem architektonicznym lepiej zbudowany niż na Hervalsinho, ale także nieukończony. Biedacy odkładają to na później, myśląc, że skoro księdza dostaną, ukończą kościół i plebanję. Ludzi stosunkowo do liczby kolonistów przyszło bardzo mało, przyczyny tego należy szukać raz w tem, że ci, którzy daleko mieszkają od kościoła w stronę Rio do Baile, nie byli powiadomieni, a powtóre, źli ludzie, których tu nie brak, także intrygowali, a wreszcie koloniści na ogół pod względem religijnym dość obojętni, to też na południe byliśmy gotowi, z całą pracą. Ks. Biskup bardzo zachęcał przybyłych do wytrwałości, żeby dochowali wiary i zostawili ją w spuściźnie swym dzieciom jako skarb najdroższy.

Po trzeciej godzinie pożegnaliśmy Apukaranę i ruszyliśmy ku Theresinie odległej o 11 klm. Droga dość dobrze utrzymana, prowadzi przez góry i najrozmaitsze urwiska, widoki wspaniałe. Po drodze spotykaliśmy wozy pełne ludzi, gromadki Brazyljan i Polaków spieszących do Theresiny, bo nazajutrz 15 paźdz. miała być uroczystość doroczna św. Teresy, patronki Theresiny. Naprzeciw ks. Biskupa wyjechał

ks. Kocyłowski O. S. B. M, brat przemyskiego władyki przybył on do Theresiny, aby mógł policzyć swoich z okazji wizytacji pasterskiej. Na mieszkanie przygotowano nam plebanję, bo ów Brazyljanin, który w czasie wizyty ks. Wizytatora w niej gościł, już się wyniósł. Dyrektor kolonji kazał domek wewnątrz i zewnątrz wybielić, podłogę dobrze wyszorować; koloniści poustawiali w pokojach łóżka i tak jako tako służyła nam w braku czegoś lepszego. Mieliśmy tę wygodę, że było swobodnie i blizko do kaplicy, ale zato dobrze dały się nam we znaki pchły nożne, których tu krocie pozostało w spuściźnie po inwentarzu bezrożnym. Oblazły nas wszystkich, a zwłaszcza pokochały ks. biskupa; co wieczór po pracy była operacja. Dorobiłem się zaszczytu nadwornego operatora J. Eksc. Wyjmowałem mu codziennie po kilka pchełek z palców nóg bez bólu i z bólem.

Ponieważ znana jest ks. Wizytatorowi Theresina, więc nie będę opisywał jej piękności. Dodaję tylko, że kaplicę po wizytacji ks. biskupa rozebrali, bo bardzo im kładł na sumienie, aby się zabrali do budowy nowej kaplicy, mówił nawet o tem z wpływowemi osobami. Wizytacja pasterska wypadła na dobry czas, bo zeszła się, jak już wspomniałem. z festą, więc ludzi było bardzo wiele; przybyli Brazyljanie z najodleglejszych zakątków do 10 mil drogi. Byli z nowo kreowanego municipium Reserva z Tibagy, Colonia Velha i Aqua Boa i nic dziwnego, bo Theresina to ostatnie sanctuarium brazylijskie w tej stronie Parany cywilizowanej. Nie brakowało nawet automobilów dla przyjemności leśnych mieszkańców; całą noc uganiały przy księżycu po drogach Theresiny, obwożąc rozbawionych uczestników uroczystości. Festa tegoroczna była bardzo huczna. Brazyljanie wysadzili się na ostatni guzik; zużyli ogni sztucznych na sumę 1.500 milrejsów, licząc na wasz kurs, przeszło pół miljona marek, nie brakowało najrozmaitszych balonów świetlnych. Popołudniu w sam dzień patronki odbyła się tradycyjna procesja z figurką św. Teresy umieszczonej na prowizorycznym feretronie. Obnieśli ją po wszystkich możliwych drogach i opło-

tkach wśród huku bomb i melancholijnego śpiewu t. zw. „capellao“ (ao=ą) coś w rodzaju naszego śpiewaka. Ten dobiera sobie do pomocy dwóch albo trzech mężczyzn i tyleż kobiet śpiewających niemożliwie dyszkantem; taka trupa to chór Kabokli, bez którego nie obejdzie się żadna festa. Capellao ogólnie zażywa wielkiej powagi wśród swoich, chociaż po większej części jest pijakiem. Nieraz odgrywa on rolę większą niż ksiądz. Zdarza się często po kaplicach w lasach, że się nie rozchodzi wiernym o to, czy ksiądz towarzyszy procesji lub nie, dla nich starczy, że im odprawi mszę św. i ochrzci ich dzieci.

W poniedziałek rano 17 paźdz. pożegnaliśmy Theresinę z zamiarem, by jeszcze tego samego dnia stanąć w Sao Roque, bo taki był rozkład. Tymczasem popsuła się nam pogoda, którąśmy się cieszyli przez cały czas naszej apostolskiej wycieczki. Już w niedzielę po procesji zaczęło dobrze kropić, w nocy poprawiło, a w poniedziałek rano rozlało się na dobre, a tu z Theresiny do Sao Roque 6 mil z okładem. W dodatku mieliśmy jeszcze zwiedzić po drodze ruską cerkiewkę w Saltinho i brazylijską kaplicę w Imbuia. Droga była ciężka, z trudnością na południe dojechaliśmy do Saltinho, gdzie Rusini wśród deszczu czekali na J. Eksc., bo dzień przedtem wyjechał był ks. Kocyłowski z Theresiny, aby ich przygotować. Zebrało się też trochę naszych i Brazyljan ze ślubami i chrztami i do bierzmowania i tak mimo woli zatrzymaliśmy się dłużej niż było przewidziane. Deszcz nie ustawał. Droga stawała się coraz gorsza, koniki miejscami ledwie nas pociągnęły pod górę. Przed Imbuią zaskoczyła nas ogromna burza. Ludzie, którzy już od południa czekali, porozchodzili się po znajomych w przekonaniu, że już ks. biskup nie przyjedzie. Zobaczywszy więc jedni naszą furmankę, a drudzy usłyszawszy głos dzwonka z kaplicy, powoli zaczęli się zciągać i zebrała się ich taka liczba, że zaledwie od 4 godziny popołudniu do wieczora zdołaliśmy ich w trójkę wyspowiadać. Ks. biskup jak wszędzie tak i tu dzielnie nam pomagał w konfesjonale. Ponieważ zaskoczył

nas wieczór, a konie były pomęczone więc i furman nie miał ochoty dalej ruszać. Chcąc nie chcąc musieliśmy zanocować u Brazyljanina. Noc przepędziliśmy dość wygodnie. Rano przed mszą św. zrobiłem jeszcze jedną operację bez bólu J. Eksc, potem odprawiliśmy obydwaj msze św. a ks. biskup pozostał naczczo, ażeby według założonego planu odprawić msze św. w Sao Roque. Droga przez pasmo górskie Serra Espiá i prawie aż do św. Rocha była marna. To też nie dało się nic pospieszyć. Jechaliśmy krok za krokiem. W Sao Roque przed bramu triumfalną zebrało się sporo ludzi. Ks. biskup odprawił mszę św. w polskiej kaplicy tuż przy drodze, a po obiedzie bierzmował w brazylijskiej. Po skończonej pracy odwiedził ruską cerkiewkę odświętnie przystrojoną, odległą o pół kil. od głównego traktu, łączącego Sao Roque z Ivahy. Do bramy triumfalnej wyszli Rusini pomieszani z Polakami w całym komplecie z ryczącym djakiem i bratczykami na czele z chorągwiami i obrazami, symbioza obu narodowości kwitnie tu jeszcze w całej pełni. W cerkwi przemówił J. Eksc. kilka słów i zaznaczył, jaki cel ma jego wizyta. W końcu udzielił im błogosławieństwa raz w cerkwi a drugi raz na ulicy.

W tym czasie, kiedy ks. biskup wizytował cerkiew, nasi Polacy krzątali się około świeżego ekwipażu do Iwahy. Przygotowali nam prosty wóz gospodarski zaprzężony w cztery konie, bo o powozie na kolonji jeszcze się dziś nie mówi. Za słońca zjechaliśmy jeszcze przez kamienistą serpentynę w Serrach (pasmo górskie) do rzeki Rio dos Indios. W drodze po kamieniach i wybojach ks. Komandrowi przydarzył się niemiły wypadek. Rozbiła mu się w kieszeni buteleczka z krzyżmem św. i dobrze sobie namaścił swą odświętną suknię. Od rzeki droga była już lepsza, to też chociaż już noc zapadła, stary furman pewniej pośmigiwał na swe koniki, bo chcieliśmy jak najprędzej stanąć w Ivahy, zwanej starą nazwą Calmonem. W czasie całej podróży ks. biskup wiele ciekawych rzeczy naopowiadał nam o tej miejscowości, wychwalając ją ponad wszystko. Miał w tem i coś słuszności,

bo dojeżdżając do samego Ivahy księżyc, jakby chcąc poprzeć twierdzenie ks. biskupa oświetlił tak przecudnie łany, zagrody i lasy, że nawet i malarz nie wyidealizowałby piękniejszej panoramy. Tym widokiem zyskał ks. Komandor jedno pro, że za nic Kurytyba, Prudentopolis etc. Kiedyśmy tak dysputowali nad pięknością Calmonu, nagle wysunęła się gdzieś z boku banderja złożona z kilku jeźdźców, rozumie się polskich. Tuż przed nami zabłysły fajerwerki a gdzieś w oddali dał się słyszeć huk bomb. Kiedyśmy dojechali szczęśliwie do tego „ostatniego cudu świata„, piękny przedstawił się nam widok. Oto niezliczona masa ludu złożona z Polaków, Rusinów i Brazyljan stała z zapalonemi świecami na ulicy na froncie cerkwi w procesji. Po przywitaniu się z ks. proboszczem ruskim i po przemowie Ukraińca po portugalsku o wiernopoddaństwie dla papy rzymskiego i J. Eksc., ruszył pochód przy odgłosie dzwonów do cerkwi wystrojonej przez siostry ruskie, które już od pół roku pracują w szkole.

Po krótkiej przemowie i błogosławieństwie ks. biskupa wszystek lud poprowadził nas w procesji przez ulice Ivahy wśród śpiewu polskiego i ruskiego do naszego już wykończonego i gustownie wystrojonego kościoła. Tu jeszcze raz przemówił J. Eksc. krótko, bo już dobiegała 10 godzina wieczór i udzielił arcypasterskiego błogosławieństwa. Zamieszkaliśmy na plebanii jeszcze nie ukończonej, a na wikt chodziliśmy do pana Czerwennego. Nazajutrz od wczesnego ranka zaczęli się ludzie gromadzić z kolonii i z okolicy bez różnicy obrządku. Dzień był przecudny. Z pobliskiego Bon Jardin ruszyli ławą Brazyljanie, bo i oni byli spragnieni oglądania ks. biskupa. Żniwo było obfite. Spowiadaliśmy przez wszystkie trzy dni, we czterech po kilka godzin. Ponieważ to był 19 paźdź., dzień św. Piotra z Alkantary, patrona Brazylji, więc ks. biskup wyraził życzenie, że chce w pierwszym dniu swej wizyty odprawić msze św. polową dla wszystkich narodowości na przyszłym rynku. Piszę na przyszłym, bo dzisiaj tam rośnie jeszcze trawa i pasą się konie, krowy, kozy i t. d.

Wobec takiego życzenia zabrali się rączo nasi do roboty i w oka mgnieniu zbudowali na środku rynku ołtarz z desek, ustroili i umaili go, jak mogli. O 10 godz. ruszyła procesja mieszana z Polaków, Rusinów i Brazyljan po J. Eksc. na plebanję. W szatach pontyfikalnych poszedł J. Eksc. z pastorałem w ręku w procesji na rynek. Po ewangelji wygłosił ze serca dość długie kazanie. W czasie mszy św. śpiewały dzieci szkolne po brazylijsku. Po południu było jak zawsze bierzmowanie; ogółem przystąpiło do tego sakramentu około 800 osób. Następnego dnia w dzień św. Jana Kantego celebrował ks Biskup w polskim kościele, trzeciego w cerkwi, gdzie podobnie jak w Prudentopolis po mszy św. kazał urządzić półgodzinną adorację Najśw. Sakramentu. Po skończonem nabożeństwie zwiedził szkołę ruską i złożył wizytę ks. proboszczowi. Tegoż samego dnia popołudniu poświęcił kościół pod wezw. św. Franciszka Ksawerego i nowy dom.

Dnia 22 paźdz. po mszach św. wyruszyliśmy z Ivahy przez lasy do Prudentopolis, aby choć jeden dzień wypocząć po trzechtygodniowych trudach, bo na poniedziałek 24 paźdz. był wyznaczony wyjazd w kierunku południowym do kaplicy brazylijskiej w Patos Velhos i dalej na kolonję Itapará. Ks. Komander pozostał w domu, bo już przeszło sześć tygodni był w podróży. W niedzielę odprawił jeszcze raz u nas mszę św. polową ks. Biskup na rynku. Rusini, choć o tem wiedzieli, nie stawili się. Wieczorem urządziły Siostry Miłosierdzia dla niego teatrzyk brazylijski, gimnastykę dzieci. Śpiew i deklamacja bardzo się podobały ks. Biskupowi. W poniedziałek rano, kiedy już miałem wóz przed domem, zaofiarował się nasz prefekt, Polak po kądzieli J. Eksc. z autem, oraz osobistem towarzystwem aż do Patos Velhos. Ponieważ przypuszczałem, że pracy tam będzie wiele, więc pojechał z nami i ks. Krause, wieczorem zaś miał wrócić z panem Durskim. Droga, jak wogóle nasze drogi kolonjalne, była fatalna; a zwłaszcza przez t. zw. Serro Azul (góra niebieska). Miejscami musieliśmy wysiadać i pomagać automobilowi. Pomimo kilku przeszkód przyjechaliśmy do Patos

Velhos stosunkowo dość szybko, bo w półtorej godziny zrobiliśmy 23 klm. Ludzi prawie że jeszcze nie było, bo nikt nie przypuszczał, że ks. Biskup tak rychło zjedzie, a zresztą Brazyljanin nie zwykł się spieszyć. U niego istnieje zasada „paciencia". Nie tracąc dużo czasu z ks. Krauzem zaraz zaczęliśmy spowiadać tych, co już czekali w kaplicy, bo o 10 tej miał celebrować ks. Biskup. Powoli zeszło się bardzo wielu Brazyljan i to z daleka. Przyszło i trochę Polaków, także i Rusinów rozproszonych w okolicznych lasach. Z trudnością na drugi dzień daliśmy radę wszystkich wyspowiadać na spółkę z ks. Biskupem, bo trzeba było samemu chrzcić, śluby dawać, kartki pisać i pomagać przy bierzmowaniu; na jednego było tego trochę zawiele. Do bierzmowania przystąpiło około 400 osób małych i wielkich. Do sakramentów św. prawie wszyscy. Zakończywszy wizytę we wtorek o godz. 4 mieliśmy zaraz siadać na konie, aby jeszcze tegosamego dnia stanąć wieczorem na kolonji Itapara odległej stąd o 18 klm. Tak było uplanowane, ale nasz gospodarz, mając wielu gości i kompadrów u siebie w gościnie, zapomniał o tem wszystkiem. Dopiero kiedy trzeba było siadać już na koń, zaczął chodzić od sąsiada do sąsiada, od kuma do kuma, to po konia to po siodło, to po kosze na nasze bagaże, i tak upłynęło blisko dwie godziny. Słońce pochyliło się znacznie ku zachodowi, a my zamiast być gdzieś w pół drogi, ciągle w Patos Velhos. Zdesperowani nareszcie usłyszeliśmy pocieszające słowo prompto, gotów! Czemprędzej siadamy na konie, a tu już lecą nasze kufry na ziemię. Rozpoczęła się znowu manipulacja z bagażami. Po chwili ruszamy kilka kroków naprzód, a tu nasz towarzysz krzyczy, na swego kolegę cuidado — baczność — kosz spada. Chcąc nie chcąc zatrzymaliśmy się po raz drugi. Tymczasem nadszedł gospodarz i zaczęli teraz w trójkę radzić. Po chwili uchwalili, żeby pożyczyć u sąsiada o kilometr odległego, większych koszów oraz poszukać dla mnie tęższego konia. Po dobrym kwadransie wyekwipowani teraz już ruszyliśmy naprzód co koń może wyskoczyć. Za jasna prze-

byliśmy połowę drogi lepszej, gorsza to jest górzysta, zarosła, kamienista i karkołomna została przed nami na czas nocy. Na domiar złego przy zmroku zerwała się straszna burza, całe szczęście, że nie padało. Nastała ciemność iście egipska, nasze konie choć dobrze obeznane z leśnemi ścieżkam zaczęły się plątać w trzcinie i ani rusz naprzód. Dopiero nasz przewodnik, Brazyljanin, oświecił miejsce zapałką i wyprowadził je na ścieżkę. Tego rodzaju przypadki powtarzały się co kilka kroków. Dość, że dwie paczki zapałek zużył towarzysz nasz na oświetlenie karkołomnych miejsc, o ile ich błyskawica nic oświetliła. Tak jadąc krok za krokiem dwie godziny, szczęśliwie zajechaliśmy cało i sucho na 10-tą wieczór do Itapary dzięki Najwyższemu i Aniołowi Stróżowi. Zaledwie weszliśmy do domu zaczął deszcz padać i tak padał z małemi przerwami przez obydwa dni wizyty. Były chwile, że lało jak z cebra. Toteż ludzie stosunkowo mało skorzystali a zwłaszcza Brazyljanie, którzy mieszkają w szerszym promieniu około kolonji, odcięci przez wezbrane rzeki.

W pierwszym dniu odprawił ks. Biskup mszę św. w polskim kościółku a drugiego w cerkwi. Przy końcu wizyty poświęcił kościólek pod wezw. Najśw. Serca Marji i nowy dzwon. Z trudem dostaliśmy się do Itapary, ale i nie z mniejszym wracaliśmy konno stamtąd. Rzeka Rio dos Patos, którą tuż pod kolonją trzeba przejeżdżać, tak potężnie w czasie deszczu wzrosła, że zaledwie z jednym dniem opóźnienia przejechaliśmy ją z narażeniem życia. Towarzyszyło nam dziesięciu kolonistów aż 20 klm. od Prudentopolis do t. zw. Ponte Nova. Tu czekał na nas wóz już od czwartku popołudnia. Pożegnawszy się z naszą poczciwą drużyną, pokrzepiliśmy nasze siły w gospodzie polskiej, a potem jazda spiesznie ku domowi, aby jak najprędzej stanąć na miejscu. bo nazajutrz w sobotę miał nas J. Eksc. pożegnać i pojechać do sąsiedniej Guarapuawy. W domu zastaliśmy już ks. Pawła Pogrzeby, werbistę, ślązaka. Przyjechał on w imieniu ks. proboszcza po ks. Biskupa tak lichą furmanką, że i żyd wstydziłby się za nią, wóz lichy a jeszcze

gorsze to, że tylko w trzy liche chetki. Do Guarapuawy wyjechał J. Eksc. w sobotę 29 paźdz. Pojechałem i ja raz dla towarzystwa ks. Biskupowi, a po drugie, żeby po niespełna jedenastu latach przynajmniej raz odwiedzić sąsiedniego proboszcza i Guarapuawę. Pierwszego dnia dobiliśmy tylko pod Serra de Esperança do granicy naszej parafji, do t. zw. Xaxim (Szaszin) osady czysto polskiej. Noc spędziliśmy w hotelu, rano odprawiliśmy msze św. w szkółce polskiej. Ludzi zebrało się sporo. Było trochę spowiedzi, bierzmowania i jeden chrzest. Po dziesiątej przeprawiliśmy się przez Serra de Esperança na terytorjum guarapuawskie z myślą, aby dopiero wieczorem stanąć u celu. Piszę umyślnie wieczorem, bo tego samego dnia w Guarapuawie były wyścigi konne, sport najulubieńszy Brazyljan. Mało kto byłby przyszedł na przyjęcie J. Eksc. I rzeczywiście, do miasta bylibyśmy przyjechali dobrze w noc, ale skończyły się wyścigi około 5 godziny. Więc panowie z Konferencji św. Wincentego à Paulo wyjechali wraz z proboszczem autem po nas o jakie 10 klm. I tak stanęliśmy jeszcze przed zachodem słońca przed kościołem. Na rynku stała masa ludu, jedni w procesji, drudzy to powracający amatorowie sportu hippicznego. Przy bramie trjumfalnej powitał dostojnego gościa pan prefekt miasta i jedna wychowanka ze szkoły niemieckich Sióstr Służebnic Ducha św., poczem nastąpił ingres do kościoła przypominającego swą zewnętrzną i wewnętrzną strukturą wszystkie inne brazylijskie. Charakteryzuje go tylko olbrzymia wieża na froncie, dzieło jednego z ostatnich proboszczów. Przypatrując się objektywnie tej uroczystości, można było zauważyć w całem tem przyjęciu formę zewnętrzną, ale brakowało jej serca i ciepła, bo mieszkańcy Guarapuawy, tej „Królowej Kęp“, jak ją dumnie nazywają, to ludzie o różnych przekonaniach religijnych, nie brakuje tu wolno-mularzy, lutrów i spirytystów. Cały katolicyzm mieści się tylko w Konferencji św. Wincentego, w arcybractwie Serca Jezusowego i w Dzieciach Marji. Nazajutrz i w dni następne, nie wyłączając nawet uroczystości Wszyst-

kich Świętych, ludzi w kościele było bardzo mało na nabożeństwach, gdy tymczasem u nas pomimo słoty i ciągłych deszczów kościół był zawsze szczelnie po brzegi wypełniony.

Z Guarapuawy wróciłem do domu w sobotę 5 listopada wieczorem, aby po czterech tygodniach ustawicznej tułaczki nieco wytchnąć i zabrać się do zwyczajnego życia misjonarskiego i pracy parafjalnej.

Prudentopolis, dnia 6 lutego 1922.

Ks. L. Bronny.

KRONIKA.

Kraków. — Kazanie na cześć czterech Sióstr Miłosierdzia, męczenniczek z Arras, wygłoszone podczas tryduum ich beatyfikacji 25 października 1920 r., na nieszporach w kościele SS. Miłosierdzia, przy ulicy Warszawskiej w Krakowie.

»A Jezus Chrystus wczora i dziś ten sam na wieki«. Żyd. 13, 8.

Przez dwa blisko tysiące lat wędrówki swojej przez wieki nie przestał Kościół Chrystusowy iść ciernistą drogą walk i krzyżów i nie stracił nigdy przeznaczonej sobie przez Boga złotej aureoli męczeństwa.

Zaledwie pierwszy zawiązek chrześcijaństwa, pod tchnieniem Ducha Świętego, wyszedł z wieczernika na górze Sion, rzuciła się nań z wściekłością nienawiść żydowska, by go w samym zarodku zgnieść i zabić, gdy Kościół przekroczywszy już granice Palestyny, zaczął szerzyć się na wsze strony po bezmiarach rzymskiego imperjum, podniosła się przeciw niemu cała potęga cezarów, by go zatopić w potokach krwi i zdusić w uścisku najsroższych prześladowań. Kiedy wszechwładny Rzym rozpadł się już w gruzy i na jego ruinach rozsiadły się hordy północnych barbarzyńców, znów leje się krew wysłanników ewangelji, idących na podbój przyszłej Europy i dzikich jej mieszkańców.

Kiedy w sercu świata ustala się już panowanie Krzyża, rumienią się krwią misjonarzy - męczenników dalekie krainy Indyj, Chin i Japonji, Afryki i Ameryki, wysp wreszcie odległych, zgubionych wśród fal oceanu. Kiedy nakoniec w samem łonie Kościoła herezja i schizma odrywają od opoki Piotrowej całe kraje, znów pada z rąk prześladowców cały szereg świadków katolickiej prawdy, którzy we Francji i w Anglji, w Holandji i w Niemczech, na Węgrzech i na

naszych wschodnich kresach nie wahają się duszy swej położyć za prawdę i prawa papieskiego Rzymu.

Zdawałoby się więc, moi Najmilsi, że wyczerpały się już na sługach Kościoła, jak wszystkie rodzaje mąk, tak wrzystkie przyczyny prześladowczej nienawiści. Zdawałoby się, że, jak wszystkie kraje świata zlane były ich krwią męczeńską, tak też wszystkie już typy męczeństwa ozdobiły swym blaskiem koronę Oblubienicy Chrystusowej.

A jednak nie, bo te ciche sługi Boże, którym dziś oddajemy pierwszą cześć na ołtarzach, dodają do dziejów katolickiego bohaterstwa jakgdyby nową, nieznaną dotąd kartę; krew męczeńska tych czterech Sióstr Miłosierdzia, które dziś stanęły w szeregach Błogosławionych, nowym klejnotem przyozdabia ową szatę godową świętego Kościoła, która mieni się już tak cudownie bogactwem tych drogich kamieni, które oglądał w objawieniu umiłowany uczeń Jezusowy.

Nowy klejnot, bo cztery te oblubienice Baranka nie padają ofiarą ani starego pogaństwa, ani herezji, ani schizmy, ale giną w starciu z tem nowożytnem odstępstwem, którego pierwszym wyrazem była rewolucja francuska — oto pierwsza myśl, której chcę dotknąć w niniejszem kazaniu.

Nowy klejnot, bo uderza w tem męczeństwie nowy, niewidzialny dotąd rodzaj męki. Około dawnych męczenników przywykliśmy widzieć straszną ale wspaniałą w swej grozie scenerję, czy to dzikich zwierząt na arenie amfiteatrów, czy płonących stosów drzewa, czy rózg i biczów czy toporów wreszcie i krzyżów; przywykliśmy widzieć ich postacie opromienione tym blaskiem cudów, którym Bóg tak często przyozdabiał ostatnią chwilę wiernych swych wyznawców. Tutaj wszystko inaczej. Całe tło krwawej walki sług Bożych pospolite i szare; zamiast dawnych narzędzi katuszy, suchy trzask gilotyny; ani jeden cud z nieba nia rozjaśnia swą chwałą męczeńskiej śmierci oblubienic Chrystusowych. Jakgdyby sam Bóg uszanował prostotę, w którą św. Wincenty wyposażył swe córki, takie w ich zgonie wszystko zwyczajne i ciche — oto druga myśl, którą pragnę rozwinąć przed wami na cześć naszych nowych Błogosławionych.

Po trzecie jednak, jak powiedziałem na początku, »Jezus Chrystus wczora i dziś ten sam na wieki«. W owem męczeństwie tak nowem, tak ze wszech miar odmiennem od typu zwycięstw dawnych bohaterów chrześcijańskich objawia się ta sama moc ducha, ta sama niezrównana wielkość, ta sama potęga umiłowania prawdy, którą tylko Chrystus

dla potwierdzenia swej nauki w dusze swych wyznawców wlać może — to będzie niniejszego kazania część trzecia.

Niech święte nasze męczenniczki Chrystusowe raczą wyprosić nam u Boga ową prostotę męstwa, z jaką oddały życie za sprawę Bożą; niech wyjednają nam zwycięstwo nad tą burzą, która za ich czasów rozpoczęta, nie przestaje po dziś dzień uderzać o opokę Kościoła świętego! Niech też raczy przemówić za nami ich i nasza Królowa niebieska, którą pozdrówmy słowy anielskiemi, mówiąc pobożnie: Zdrowaś Marjo!

Powiedziałem, Najmilsi moi, że to, co męczeństwu czterech Błogosławionych nowy jakiś nadaje charakter, to przedewszystkiem przeciwnik, z jakim walczą i nad którym odnoszą zwycięstwo.

Bo w rzeczy samej ten duch, co wzniecił pożar wielkiej rewolucji i ten kierunek myśli, który wziął z niej początek, jest to zjawisko, jakiego dotąd nie widziano na świecie. Było przed chrześcijaństwem pogaństwo starożytne w przeróżnych swych odmianach i formach; były i są jeszcze obok chrześcijaństwa rozmaite rodzaje fałszywych wyznań; były i są po dzień dzisiejszy niezliczone czy to sekty, czy odszczepieństwa, które z kościoła wyszedłszy zawiązały się w odrębne religijne społeczności. Były więc i są poza wiarą prawdziwą bardzo różne rodzaje religijnego fałszu, a jednak mimo to wszystko, żadne na świecie religijne zboczenie nie da się porównać z tem potwornem odstępstwem, które wyszło z łona wielkiej rewolucji i do dziś dnia panoszy się przeciw prawdzie. O innych bowiem błędach, nie wykluczając starego pogaństwa, dadzą się powtórzyć słowa, które o bałwochwalcach swoich czasów powiedział Mędrzec Pański, że »mniejszą mają przyganę, bo podobno szukając Boga, błądzą«, ale nie zapierają się Jego istnienia. (Madr. 13, 6). W tym zaś straszliwym religijnym przewrocie, który wstrząsnął światem u schyłku XVIII. wieku, nie było już ani trochę »szukania Boga«, ale zupełna i najzuchwalsza negacja.

Jak do tego doszło, to długo byłoby opowiadać, lecz wystarczy tu powiedzieć, że pijany szałem rewolucji umysł ludzki »sprzeciwił się i wyniósł nad to wszystko, co zowią Bogiem« (2 Tess. 2, 4), by ubóstwiać samego siebie, wystarczy powiedzieć, że aż do ostatnich korzeni chciano wydrzeć ze serc ludzkich roślinę wiary, by o Bogu i duszy, o żywocie przyszłym i całym nadprzyrodzonym porządku sama nawet pamięć zaginęła na ziemi.

Żeby zaś zastąpić ludziom dawne wierzenia i dóbr niebieskich chrześcijańską nadzieję, rzucono pomiędzy nich trzy hasła i trzy zasady, na których dźwignąć się miał nowy porządek rzeczy, bez Boga i bez przyszłego poza tą ziemią żywota. Pierwszem hasłem była wolność, a więc zupełne wyzwolenie z pod prawa, którego sam człowiek nie jest źródłem; drugiem była równość, czyli przyznanie wszystkim jednakowych praw do ziemskiego użycia; trzeciem hasłem, któremu dalsza historja przewrotu najkrwawszy kłam zadała, było ogólne wśród wszystkich braterstwo. Wszystkie zaś te trzy hasła rzucone jak trzy żagwie płonące w gmach dawnego, ze chrześcijaństwa wyrosłego porządku, uderzyć musiały przedewszystkiem w tę odwieczną twierdzę ładu Bożego na ziemi, jaką był i na zawsze zostanie święty katolicki Kościół. Z temi bowiem hasłami, w duchu, w jakim głosiła je rewolucja, nie mógł Kościół zawrzeć przymierza. Bo choć i on opowiadał ludom wolność, równość i braterstwo, opowiadał je w znaczeniu o całe niebo odmiennem. Wolność była mu swobodą synów Bożych, przez doskonałe poddanie Bożemu prawu wyzwolonych z pod jarzma namiętności i grzechu; równość oznaczała jednaką, bo nieskończoną cenę dusz ludzkich i wspólne wszystkim przeznaczenie do wiekuistej chwały; braterstwo było świętym węzłem miłości chrześcijańskiej, zawiązanym wśród ludzi przez wspólne ojcostwo Boże i wspólne macierzyństwo Kościoła. Ale, że dla tego świata pojęć nie było w łonie rewolucji zrozumienia, tylko owszem najzażartsza nienawiść, musiało przyjść do walki z katolicyzmem i przyszło.

Przebiegu tej walki straszliwej nie chcę, Najmilsi moi, opowiadać szczegółowo, bo to są rzeczy, od których włosy stają na głowie, a krew ścina się w żyłach. Powiem tylko, że jak Francja długa i szeroka, bezczeszczono wszystkie świątynie i plugawiono ich ołtarze; Najświętszy Sakrament i relikwie świętych rzucano w błoto lub palono na stosie; z poświęconych naczyń kościelnych pił bezecny motłoch uliczny; szaty i księgi liturgiczne darto na strzępy lub ubierano w nie upadłe istoty; po ulicach Paryża oprowadzano w bluźnierczej procesji osła przybranego w kapłańskie ubiory, opatrzonego napisem, że niema Boga prócz człowieka, któremu wszystko powinno się kłaniać.

Ale nowy ten »bóg« nietylko pokłonu potrzebował, on potrzebował krwi. I nie zabrakło ani ofiar, tj. zwolenników dawnego porządku, a przedewszystkiem zwolenników chrześci-

jaństwa, ani sług nowego »boga«, gotowych toczyć na cześć jego krew ofiarną. »Wolność, równość i braterstwo« zabrały się do pracy i zaczęły się chwile, którym podobnych nie znają dzieje świata.

44.000 trybunałów rewolucyjnych tj. 44.000 szajek okrutników i zbrodniarzy rozsiadły się po miastach i wioskach Francji; 44.000 straszliwych, dla szybszego tracenia wymyślonych gilotyn, wzięły się do dzieła śmierci. Potoki krwi płynęły z pod rusztowań, strumienie łez nieutulonych ciekły z oczu setek tysięcy. I tego jednak było mało krwawemu »bogu«. W wielu miejscach do gilotyny dodawano najwyszukańsze męczarnie; gdzieniegdzie, gdy samo to narzędzie tracenia pracowało zbyt powoli, wywożono skazanych na głębię rzeki, usuwano potem ruchome dno statku i całemi setkami pogrążano ich we wodzie. Nienawiść doszła do formalnego szału; okrucieństwo zmieniło się w krwiożerczość nie znającą granic nasycenia. Głównym zaś przedmiotem tej nienawiści i okrucieństwa stali się słudzy Kościoła, a więc biskupi, kapłani i wszystkie Bogu poświęcone osoby.

Zwróciło się prześladowanie przeciw duchownym, ale za mało było szatańskiej złości nad sługami Bożymi się znęcać; dla zupełniejszego zwycięstwa postanowiono najpierw ich spodlić. Wydano więc prawo, obostrzane w następstwie całym szeregiem dokuczliwych przepisów, że całe duchowieństwo ma złożyć przysięgę na wierność rewolucji, przysięgę, która zawierała w sobie odstępstwo od Boga i Kościoła. Takich, co tę przysięgę złożyli, na jakiś czas przynajmniej zachowywano przy urzędach i godnościach; ktoby jej odmówił, ten musiał zaraz iść na wygnanie, a jeśli dla pomocy dusz ludzkich pozostał w kraju, był ścigany jak dzikie zwierzę, był wyjęty z pod prawa jak ostatni zbrodniarz, dopóki schwytany przez oprawców nie dostał się pod nóż gilotyny.

I z tem już dochodzimy do dziejów czerech naszych Błogosławionych; na tem krwawem tle rogrywa się historja tych świętych sług Bożych, które z ognia ucisku nietylko wyszły bez plamy, ale z palmą chwalebnego męczeństwa.

W mieście Arras żyły przy szpitalu publicznym cztery Siostry Miłosierdzia. Właściwie było ich siedm, ale jednej z nich zabrakło ducha i powróciła do rodziny, dwom innym, przed samą burzą poleciła przełożona poszukać ratunku w ucieczce. Pozostały w domu tylko cztery bohaterki, mężne jak stal, a ciche jak sługi Baranka, pozostały tylko dlatego, by nadal się poświęcać dla chorych Chrystusowych, by koić

ból i łzy ocierać, by służyć pomocą i pociechą cisnącemu się do ich drzwi ubóstwu. Były to Siostry: Magdalena Fontaine, 71 lat licząca przełożona, a obok niej trzy inne młodsze, Fantou, Lanel i Gérard.

Już od lat kilku palił się wokoło pożar wielkiej rewolucji, już setki ofiar zapełniły były więzienia lub poszły na rusztowanie, a Siostrom dotąd nie stało się nic złego. Nie płynęła ta względność ze sprawiedliwości ani miłosierdzia. Prześladowcy bali się poprostu, że cały lud ujmie się za temi, które otoczone były w mieście ogólną czcią i powszechną miłością. Bo i jakże było nie kochać sług Bożych, które po to tylko żyły, żeby z ofiarą własną czynić dobrze swym bliźnim? Czego mogła by też najskrajniejsza rewolucja chcieć od istot, które nie komu innemu służyły swem poświęceniem, tylko właśnie wydziedziczonym, najuboższym i najbardziej cierpiącym?

A jednak znalazł się wreszcie tygrys w ludzkiem ciele, który nie zawahał się wybrać na swe ofiary biedne i ciche opiekunki ubogich. Gdy w listopadzie 1793 roku objął władzę w Arras »komisarz ludowy«, jeden z najstraszniejszych zbrodniarzy rewolucyjnych, osławiony okrucieństwem Józef Lebon, wybiła dla Sióstr Miłosierdzia godzina walki.

Ponieważ skądinąd nie można było przeciw nim znaleźć ani cienia zarzutu, postanowiono wywołać z ich strony rzekomy opór rozporządzeniom władzy i w tym celu zażądano od nich złożenia wspomnianej wyżej rewolucyjnej przysięgi. Przysięgło już było wielu kapłanów; biedne Siostry były zupełnie osamotnione, zdane na łaskę i niełaskę swych ciemięzców, mogło się więc zdawać, że sprzeciwienie się będzie szaleństwem. A jednak nie zabrakło im odwagi do tego szaleństwa. Gdy zjawili się w szpitalu komisarze rządowi z żądaniem przysięgi, choć podano Siostrom najłagodniejszą formułę, bo kazano im tylko przysięgać na wolność, równość i braterstwo, odmówiły wręcz. Nie pomogły dwa tygodnie czasu, dane im do namysłu, nie pomogły nalegania i groźby; wszystkie wysiłki i podstępy prześladowców odbiły się o pancerz prostej a nieugiętej wiary, którą miłość Boża uzbroiła serca swych wybranych.

Wtrącono Siostry do więzienia, do tego strasznego więzienia rewolucji, które samo jedno starczyło za najcięższe katusze, ale więzy dosięgły tylko ciała; dusze sług Bożych unosiły się wysoko ponad ziemią i z tych wyżyn czerpały siłę do dalszego oporu. Minęło kilka miesięcy, aż zrozumieli

tyrani, że nie potrafią ugiąć tego hartu, który w oblubienicach sprawował Duch Boży. Nie pozostało więc nic innego, jak uciec się do tego argumentu, którym posługuje się zawsze w walce z duchem brutalna przemoc ziemska. Żeby nie narażać się w Arras na oburzenie ludu, cichaczem wywieziono Siostry do sąsiedniego Cambrain i postawiono je tam przed trybunał, który zwał się trybunałem sądowym, a w rzeczy samej był zebraniem katów, sprzysięgłych z góry na zgubę swych ofiar. Wyrok zapadł z szatańskim pośpiechem. W roku 1794 26 czerwca rano przywieziono cztery Męczenniczki na nowe miejsce pobytu, a tego samego dnia koło południa poprowadzono je na rusztowanie.

Zgrzytnęła gilotyna, potoczyły się na ziemię odcięte głowy i wzbiła się w nie wdzięczna wonność ofiary. Na darmo bowiem głosili kaci, że przyczyną śmierci Błogosławionych było nieposłuszeństwo władzy i knowania przeciw publicznemu dobru! One nie sprzeciwiały się prawowitej władzy — te pokorne sługi Boże, które dobrowolnie wzięły na się jarzmo zupełnego posłuszeństwa i nie przedsiębrały niczego przeciw dobru ludzkości, gdy całe życie spłynęło im jedynie na posłudze chorych i nieszczęśliwych. Ale gdy szatańska, nieprawa władza chciała skierować ludzkość na manowce odstępstwa, które nazwano postępem i rozwojem, nie zawahały się stanąć w obronie praw Bożych i wypisały krwią własną na progu nowych czasów przez rewolucję otwartych, że wolność i równość i braterstwo nie iszczą się gdzieindziej tylko w Bogu.

I tak widzieliśmy, moi Najmilsi, wielkie bohaterki chrześcijańskie w walce z nowym wrogiem, tj. z tym strasznym buntem przeciw Bogu, który nadał właściwy charakter całym nowym czasom, od półtora wieku rozpoczętym. Wypada nam przypatrzeć się z kolei, jak nad tym nowym przeciwnikiem w nowy doprawdy sposób odnoszą zwycięstwo.

W dawnych męczeństwach, jak to powiedziałem we wstępie, uderza nas zwyczaj jakby pewna wielkość scenerji i majestat tego największego triumfu, jaki duch odnieść może nad siłą. Ta krwawa tragedja, jakiej widownią był plac publiczny w Cambrai, a której ofiarą padły cztery Błogosławione miała zgoła inny przebieg i charakter. Dając córkom św. Wincentego po raz pierwszy tę łaskę, że z ich grona wybrał »oblubienice krwi«, uszanował niejako Pan Bóg właściwego im ducha i ten odrębny typ zakonny, jaki nadał ich zgromadzeniu.

Jakkolwiek bowiem każda prawdziwa pobożność szuka tylko Boga, są jednak, najmilsi moi, pewne zewnętrzne formy, w które przybiera się niekiedy cnota, aby silniej zaznaczyć oderwanie od świata i całkowite oddanie się Bogu. I tak przeważna część dawnych zakonów przybierała się w grube odzienie lub ostrą włosienicę, trapiła ciało częstym postem i dyscypliną, oddzielała się od świata murem i kratami surowej klauzury, żyła w odosobnieniu ciągłej bogomyślności. A wszystkie te środki umartwienia i zaparcia, choć przedsiębrane tylko dla Boga, jednały jednak sługom Bożym pewną cześć u ludzi, bo dawały im urok wielkiej ofiary i ciągłego nad sobą zwycięstwa.

Otóż św. Wincenty inną obrał drogę. Przeznaczył i on córkom swoim życie zupełnego wyrzeczenia i najtwardszej, do upadłego, pracy, ale rzucił na tę ich ofiarę zasłonę największej prostoty. Kazał im się odznaczać cnotą i to cnotą doprawdy heroiczną, ale nie pozwolił odznaczać się od innych jakąkolwiek zewnętrzną formą pobożności, wpadającą w oko i jednającą im uznanie. »Waszym klasztorem« taką pozostawił im przecudowną spuściznę, »waszym klasztorem będzie dom chorych i ubogich, waszą kaplicą domową będzie wspólny wszystkim wiernym kościół parafjalny, miejscem waszych rozmyślań będą ulice gwarnego miasta, waszą kratą będzie bojaźń Boża, waszą klauzurą posłuszeństwo a welonem święta skromność, która położy na was jakby zasłonę Bożą«.

I tak też rzeczywiście się stało. W myśl tego testamentu swego świętego Ojca przybrały się Siostry Miłosierdzia w jeden tylko habit i w jeden welon i w jedną klauzurę zakonną, to jest w przedziwną prostotę, która płynąc z zewnętrznej pokory, niczem uwagi nie zwraca, a jednak nadaje pewne odrębne piętno ich domom, ich osobom, ich czynom, całemu wreszcie rodzajowi ich cnoty i życia.

Ta prostota jest też główną cechą tak życia, jak męczeńskiej śmierci czterech naszych Błogosławionych.

Doprawdy bowiem, aż zadziwia przechowany nam dość dokładnie opis ich żywota. Nietylko, że tam nie spotkamy cudów, ani ekstaz, ni heroicznych umartwień, ale nie znajdziemy zgoła nic, co przekraczałoby na zewnątrz zwyczajną miarę cnoty. Żyją w swoim szpitalu jak najpospolitsze sługi ubogich; robią to wszystko i to tylko, co robi każda dobra Siostra Miłosierdzia, modlą się tyle, ile reguła im nakazuje a zresztą służą chorym, wspierają ubogich prowadzą skromne

domowe gospodarstwo, z wzorowym porządkiem zapisują rachunki, zbierają dla swych nieszczęśliwych dary i jałmużny.

Podobnie zaś jak w życiu tak i w śmierci nie pokazują niczem tych skarbów łaski, jakie Bóg musiał gromadzić w ich sercu. W protokołach ich zeznań przy kilkakrotnem przesłuchaniu daremniebyśmy szukali jakiejkolwiek pozy czy też jakiegoś słowa obliczonego na efekt lub zakrawającego na deklamację. Literalnie tak, jak nam nakazał Zbawiciel w ewangelji, mowa ich jest »tak, tak i nie, nie«, bez żadnego dodatku i bez żadnego upiększenia prawdy. Wysila się przeciw nim złość i chytrość, a one stoją przed tym trybunałem fałszu jasne jak perły i nieugięte jak kryształ, wznosząc się nad wszystkie zasadzki, nie mądrością ziemską, ale swoją prostotą gołębią.

Nie inaczej wreszcie rzecz się ma w samym akcie męczeństwa. Po ludzku mówiąc pragnąłby człowiek, by choć jeden promień z nieba ozłocił swą chwałą czy to ich osoby, czy miejsce i chwilę ich męki — ale nie! Ani na zewnątrz nic nie daje blasku heroicznej ich ofierze, ani one same nie zdobywają się na to, co ozdabiało śmierć tylu świętych, na jakiś wspaniały gest czy uroczyste słowo. Jak żyły, tak umarły po prostu i cicho, jakby pełniąc dalej najzwyczajniejszy obowiązek; spoglądał na nie nie amfiteatr, ale pospolity plac targowicy miejskiej; zginęły nie przez kły dzikich zwierząt, ani przez ognie rozpalonych stosów, ale przez zimną banalność okrutnej gilotyny.

Jeden tylko, Najmilsi moi, jeden szczegół prześliczny a rzewny jest jakby przebłyskiem uczuć ożywiających ich serca, ale i ten szczegół dodaje tylko blasku prostocie w jaką przybrał je św. Wincenty i której wierne pozostały do końca. Dawne uczennice idąc z weselem na krwawe gody Baranka, przybierały nieraz głowę w kwiaty i wieńce. Nasze Błogosławione inaczej. Gdy oprawcy usiłowali im wyrwać jedyną broń, z jaką szły na rusztowanie, ukochany ich różaniec Matki Bożej, tego znaku zbawienia nie pozwoliły sobie odebrać. Owszem nie dość im było zachować go w ręku, ale jakby koronę chwały uwinęły go sobie na czole, a potem schyliły głowy pod ostrze katowni.

Czy Najmilsi moi nie ma cudownego uroku ta śmierć tak prosta i cicha?

Czy w pokorze, która zapomina o sobie aż do końca i niczem nie chce zabłysnąć przed ludźmi, nie tkwi jakaś ogromna wielkość i chwała, ta chwała »córki Sionu, która

cała jest od wewnątrz«, która kwitnie nie światu, ale samemu tylko Bogu?

Tak, moi Najmilsi! W prostocie tej śmierci leży wielkość niedościgła, bo »Jezus Chrystus wczora i dziś ten sam na wieki«! Zmieniły się czasy, zmienił przedmiot i charakter wyznawstwa, inne już walki z innym przeciwnikiem prowadzą dusze do palmy zwycięstwa, ale jak w dawnych, tak w dzisiejszych zapasach. Ten jeden pokazuje swą moc i chwałę, o którym mówi Apostoł, że »triumfuje w nas zawsze« (2 Kor. 2, 14), bo wierny jest i potęgi Jego niemasz końca. Jak niegdyś krzepił dusze swych żołnierzy do dawnych walk męczeńskich, tak dziś w ciche serca ubogich sług swoich potrafił wlać tyle mocy, że uległa przed nią złość prześladowców, jak fala morska rozbita o skałę.

Bo w rzeczy samej, gdy przypatrujemy się okiem duszy wszystkiemu, co biedne cztery Siostry przeszły i z czego wyszły z tak świetnem zwycięstwem, zdumienie ogarnia nad wielkością ducha, jaką okazały w tej burzy.

Czemże bowiem był ten szpital w Arras, gdzie na długie miesiące przed uwięzieniem odgrywał się pierwszy akt ich męczeństwa? On był wysepką małą, oblaną zewsząd wściekłem, spienionem morzem, on był jakby ostatnią a słabiutką twierdzą, koło której zaciskał się pierścień oblegających, najzażartszych wrogów. Naokoło bowiem huczał już wszędzie straszliwy pożar rewolucji, dzień po dniu przynosił coraz to okropniejsze wieści i coraz groźniejsze obawy, a biedne cztery Siostry były tak same, tak bezsilne, tak opuszczone! Ani obrony u władzy, bo władza była w ręku tygrysów nie ludzi, ani żadnej pomocy, bo nieliczni przyjaciele sami drżeli o swoje głowy, ani porady, bo wszelka rada była już daremna, ani nawet religijnej pociechy, bo nie było już ni kapłana, ni nabożeństwa, ni Najświętszego Sakramentu w tabernakulum ołtarza. O, jakiej odwagi trzeba było, żeby w tych warunkach wytrwać na posterunku! O jaka wiara musiała mieszkać w tych czystych sercach, żeby sam Bóg niewidzialny im wystarczał i żeby jedyną tarczą być mogło świadectwo dobrego sumienia!

A jednak wytrwały sługi Boże, bo trzymała je na tej straconej placówce taka siła, która na pozór przegrać może, ale w końcu zawsze zwycięży. »Gdyby nas zabrakło« tak mówiły sobie »cóżby się stało z nieszczęśliwymi chorymi, co z tą biedotą, która codziennie przybywa do nas po chleb i po słowo pociechy!«. Mogły bez żadnej trudności poszu-

kać ratunku w ucieczce, a jednak tego nie zrobiły bo wiązała je miłość, ta miłość przedziwna ku wszystkim, co cierpią, odziedziczona w spuściźnie po wielkim Ojcu, co sercem swem ogarnął nędzę nietylko swoich czasów, lecz wieków.

Zostały więc z miłości i rzeczywiście ostatnie chwile, które Siostry w Arras spędziły nie co innego wypełnia tylko miłość. Z zapisków po dziś dzień zachowanych widać jasno, że o nic im nie chodzi, tylko o biednych. Im poświęcają się zupełnie, dla nich proszą o wsparcie dusz pobożnych, dla nich u samych władz rewolucyjnych starają się wyjednać ulgę i pomoc, dla nich pragną przedłużyć swój pobyt w szpitalu, a tem samem i pasmo swych ofiar.

I jedną tylko granicę zna to miłosne poświęcenie, a jest nią obowiązek względem Boga. Gdy bowiem nasuwa im się wybór: albo zostać na stanowisku za cenę bezbożnej przysięgi, albo pójść do więzienia, a z więzienia na szafot, nie wahają się ani na chwilę. Ani łzy chorych, ani ogólny jęk nieszczęśliwych nie powstrzymują ich na drodze obowiązku: rzucają ukochane dzieła miłosierdzia, rzucają swój cichy zakątek klasztorny, pozostawiają wszystko, do czego ciągnęło je serce i wstępują śmiało na drogę, której kresem miał być zgon męczeński.

O moi Najmilsi! To łatwo się opowiada, ale żeby być zdolnym do tak całkowitego poświęcenia trzeba mieć wielkie serce, takie serce o jakiem mówi nam Apostoł, że »więzienia i utrapienia za nic sobie nie ważę i duszy mojej drożej nie szacuję, niż samego siebie, bylebym tylko dokończył biegu mego«. (Dziej. 20, 23, 24). I one »chciały dokończyć biegu swego« te ciche a bohaterskie sługi Boże i dlatego wzgardziły wszystkiem i poszły śmiało w ogień czekającej je walki.

Pobyt Sióstr w więzieniu, a raczej w szeregu więzień, z których jedno sroższe było niż drugie był znowu jednem pasmem uczynków miłości. Same pozbawione wszystkiego i pod każdym względem uciśnione, o tem tylko myślą, by drugim dopomagać, by pocieszać, by łagodzić cierpienia, by kierować wzrok prześladowanych ku górze, gdzie czeka ich wyzwolenie wieczne. Wedle zapisków osób, które były razem ze sługami Bożemi w więzieniu, a potem zdołały wydostać się na wolność, były one prawdziwą opatrznością współwięźniów i potrafiły podźwignąć cały szereg serc znękanych.

Z tem wszystkiem jednak koniec się zbliżał, bo nienawiści oprawców nie mogło nic nasycić, tylko krew. Porywano z więzienia jedne ofiary po drugich, a kto poszedł

pod sąd rewolucyjny, ten już nie wracał pomiędzy żywych. Nareszcie przyszła kolej i na Siostry. W chwili jednak kiedy miano wsadzić je na wóz i wywieźć do Cambrai na niechybną zgubę, pozwolił im Bóg zostawić towarzyszom niedoli ostatnią, a największą pociechę. Czy to było osobne światło z nieba, czy może pewność wysłuchanych modlitw i przyjętych w niebie ofiar dość, że żegnając współwięźniów, czekających z trwogą swojej kolei, »nie bójcie się« rzekły pogodnie »my zginiemy, ale my zginiemy ostatnie«. A kiedy u słyszących te słowa obok podziwu nad wielkością ich duszy odbiło się na twarzy głębokie zdumienie, bo nic nie zdało się wróżyć końca rewolucyjnej zawieruchy, »tak będzie« powtórzyły z nadziemską pewnością »nasza krew poleje się ostatnia i na nas zatrzyma się straszliwa gilotyna. Bądźcie spokojni, bo przyjdzie wam tylko pocierpieć trochę w więzieniu, ale nikomu z was śmierć nie grozi«.

I cóż, Najmilsi! Czy to nie bohaterskie dusze, które mają na ustach takie słowa pociechy? Czy to nie dowód mocy potężnej a słodkiej patrzeć spokojnie we własny koniec, a zasłonić bliźnich jakby tarczą swej krwi przelanej w ofierze?

Ale ta sama cudowna scena miała powtórzyć się raz jeszcze, w samym akcie męczeńskiego zgonu. Już Siostry weszły były na rusztowanie, już trzy odcięte głowy potoczyły się były na ziemię, gdy ostatnia, Siostra Fontaine zwraca nagle twarz w stronę zebranego tłumu: »Pocieszcie się chrześcijanie« woła z mocą i niebiańskiem weselem; »my jesteśmy ostatnią ofiarą! Po nas już spocznie okrutna gilotyna i niczyja więcej głowa nie spadnie; chwila jeszcze a podniosą się napowrót zbezczeszczone ołtarze i życie chrześcijańskie we Francji zakwitnie na nowo».

I przepowiednia spełniła się do słowa: mimo, że setki więźniów czekało jeszcze złowrogiej swej kolei, mimo, że rewolucyjny trybunał zdawał się być w pełnej sile, stanęła w Cambrai a wnet i w całej Francji straszliwa machina śmierci i po świętych głowach Sióstr, żadna inna w tem mieście nie spadła już na ziemię. »Jezus Chrystus bowiem wczora i dziś ten sam na wieki« — prowadzi wybranych swoich drogą krzyża, ale uzbraja ich mocą do zwycięstwa a śmierć ich męczeńską opromienia blaskiem chwały.

A chwała ta, Najmilsi, nie jest jak chwała ziemska, bo ona z wiekami nie maleje, lecz rośnie. Gdy tylko wedle przepowiedni sług Bożych podniosły się na nowo zrujno-

wane ołtarze i w spustoszonej rewolucją Francji życie chrześcijańskie napowrót zakwitło, odżyła w sercach pamięć tych cichych córek św. Wincentego, które wśród najsroższej burzy najpierw spełniły rolę aniołów miłosierdzia a potem bohaterską swą śmiercią wyjednały u Boga odwrócenie dalszej próby. Zaczęła się cześć ich zrazu prywatna i domowa, potem coraz głośniejsza i bardziej publiczna, w miarę jak ich wstawiennictwo nowe upraszało łaski, aż wreszcie wyrok nieomylnego Kościoła podniósł je do tej chwały, której słabym odblaskiem jest obraz jaśniejący dziś na tym ołtarzu. I nie na tem jeszcze koniec, bo dano jest im mówić z tego ołtarza, nie słowy, lecz potężną mową przykładów tak życia jak śmierci. Treścią zaś tej cichej mowy, którą potrafią dosłyszeć serca wierne, to owa nauka apostolska, jaką położyłem na wstępie tego kazania, że »Jezus Chrystus wczora i dziś ten sam na wieki«. »Ten sam«, gdy mieszkał z nami widzialnie na ziemi, »ten sam« gdy Kościół jego prowadził walkę z potęgą cezarów, »ten sam« podczas dni chwały średniowiecza, »ten sam« u progu nowych czasów przez rewolucję otwartych, »ten sam« na dziś i na zawsze z tą samą ewangelją, z tą samą prawdą nieomylną, z tą samą mocą i słodyczą, którą prowadzi swe sługi do tej samej zawsze chwały. Zmieniają się czasy i ludzie, zmieniają się hasła i dążenia, ale on musi pozostać kamieniem węgielnym wszelkiej budowy »bo fundamentu innego nikt założyć nie może, okrom tego, który założony jest, który jest Chrystus Jezus«. (1 Kor. 3, 11).

I to jest, Najmilsi moi, nauka na dni dzisiejsze szczególnie potrzebna. Bo jak powiedziałem powyżej, nie zginął on z widowni ten nowy a straszny przeciwnik, nad którym odniosły triumf nasze cztery Błogosławione. Szatański ten duch radykalnego odstępstwa od Boga, od czasu jak wyszedł z pod ziemi w rewolucji francuskiej, krąży ustawicznie po świecie, to prowadząc w ukryciu przewrotną swą robotę, to jawne a gwałtowne wzniecając pożary. Bo czy i w tej chwili nie słyszycie z poza naszej wschodniej ściany, jak huczy ten płomień niszczący, co obraca w perzynę najpotężniejsze państwa? Czy bez wyraźnego cudu naszej Królowej Częstochowskiej nie bylibyśmy i my ulegli niedawno piekielnej sile tego okropnego buntu przeciw Bogu i Chrystusowi?

Otóż drodzy moi uczyć się nam od tych sług Bożych, które jak jasne gwiazdy zaświeciły nam na niebie, że żadne

nowe hasła pokoju i szczęścia nie niosą, jeśli ich źródłem nie jest prawda Chrystusowa. Uczyć się nam, że wolność, równość i braterstwo, jeśli nie z ewangelji płyną i nie jej duchem są przejęte, krwią tylko i łzami zapiszą się w dziejach ludzkich. Uczyć się nam od tych cichych bohaterek chrześcijańskich jak mężnie czoło stawiać, czy to podstępom wroga, czy otwartej jego przemocy.

Uczyć się i wzywać ich pomocy, bo na to postawił je Bóg u progu nowych czasów by w nowych walkach, jakie toczy Kościół Boży, były mu potężną podporą. Podnośmy więc do nich oczy i ręce, polecajmy się gorąco ich wstawiennictwu u Boga, a jak za życia swego były pociechą nieszczęśliwym, tak i nam z nieba nie odmówią ratunku. I pójdziemy za niemi, mimo wszystkich burz wzniecanych przez piekło, pójdziemy jak one drogą wiary, miłości i świętej prostoty, aż dojdziemy do tego, który przez wszystkie czasy i walki, jak »wczora tak dziś« w sługach swoich zwycięża i jak »wczora tak dziś ten sam zostaje na wieki«. Amen

Guarany. — (Wyjątek z listu X. J. Wróbla z dnia 29/XII 1921 r.).

Anim się nie spodział jak przerzucono mnie w odległe strony kolonji Guarany, leżącej w stanie Rio Grande do Sul. Stało się to tak nagle, że dziś jeszcze nie ochłonąłem z wrażenia, jakiego doznałem w chwili, gdy telegraficznie kazano mi stawić się na dzień 20 grudnia b. r. w nowej placówce zwanej kolonją Sta Theresa de Guarany.

Ponieważ nie miałem żadnych papierów od Imć ks. Rzymełki, a także i pustą kasę w Agua Brance, więc ruszyłem do Kurytyby, aby załatwić konieczne formalności i wziąć ze sobą pieniędzy. Wróciwszy z Kurytyby do Agua Branki, zapakowałem rzeczy niezbędne i 19 b. m. wyjechałem do Mateusza, a w sam dzień Opieki św. Wincentego, wsiadłszy do pociągu w Trez Barraz, ruszyłem w stronę nowego posterunku. Jechałem 2 dni i 2 noce koleją, a od ostatniej stacji Sto Angelo przeszło 40 klm. wozem. Na miejscu stanąłem 23 b. m. Spodziewałem się, że zastanę już papiery z jurysdykcją od ks. biskupa z Uniguayany, do którego pisał Imć ks. Rzymełka, żeby je tam nadesłał. Tymczasem nie było ani listu upoważniającego mnie do objęcia parafji, ani zawiadomienia telegraficznego ze strony ks. biskupa. Wysłałem więc depeszę do Uniguayany, zawiadamia-

jąc ekscelencję, że jestem już na miejscu, prosząc go równocześnie o tymczasową jurysdykcję, bo po Nowym Roku sam pojadę się Mu przedstawić. Odpowiedź nadeszła w Boże Narodzenie o godz. 2 po południu, abym wziął »posse« parafji. To też w drugie święto Bożego Narodzenia zacząłem me urzędowanie.

Parafja tutejsza liczy podług spisu rodzin w aktach parafjalnych przeszło 3.000 familij. Samych Polaków jest przeszło 1.300 rodzin, a reszta to Włosi, Niemcy i Brazyljanie. Wobec tego rozległe jest pole pracy na obszarze tak ogromnym, jaki stanowi ta kolonja. Jest 15 kaplic do obsługi, a ponadto 3 sąsiednie parafje: Sto Angelo, Rio Branco i Sao Miguel.

Mieszkanie czyli plebanja gorsza od obory. Niema powały, w refektarzu znowu podłogi, a zato robactwa różnego gatunku, że trudno to sobie wyobrazić i należycie opisać. Pluskwy w łóżku, w ścianach, pcheł kilka gatunków, mrówek niepoliczona ilość, pod podłogą w kancelarji i sypialnej izbie całe gniazda os. Chwała Bogu, że przynajmniej dach mam nad głową. Kościół dosyć jeszcze wygląda, tylko, że dachu niema. Powoli zrobi się wszystko. Na niedzielę zapowiedziałem zebranie komitetu.

Trzy miesiące temu przyjechały tu Siostry Rodziny Marji. Mieszkają w baraku i znoszą wszystko z heroizmem. Może z Nowym Rokiem polepszy się ich stan materjalny.

Jeszczebym dużo pisał, ale ani chwilki czasu już niemam, bo ciekawych tak wielu, że co kilka minut odrywają mnie od pisania, bo chcą poznać nowego proboszcza.

W liście z dnia 20 kwietnia 1922 podaje X. Wróbel dalsze szczegóły swej ofiarnej pracy;

Naprawdę, że dotąd jeszcze nie mogę się ocknąć i zdać sobie sprawy z tego, co się ze mną stało. Nigdy nie przypuszczałem, abym tak niespodzianie i tak daleko miał pracować nad rodakami naszymi. Wprawdzie są oni polakami, ale jakże różnymi od tych, nad którymi tyle lat pracowało się w Paranie. Przedewszystkiem pod względem religijnym strasznie zaniedbani. Czekał mnie tu ogrom pracy. Ponieważ trudno było podołać jednemu wobec mnogości parafjan, których podług ostatniego relatorium djecezalnego liczy się na przeszło 19.000 dusz i wobec okoliczności nad wyraz smutnych, jakie tu zastałem, udałem się więc z gorącą prośbą do wicewizytatora Imć ks. Rzymełki w Kurytybie, który wraz z radą

prowincjonalną uznał za stosowne i konieczne, aby nas tu dwóch pracowało. Wyjechał więc z Kurytyby dnia 21 marca b. r. ks. Stanisław Porzycki, a w Guarany zjawił się w sam dzień Zwiastowania N. M. P. tuż, przed samem nabożeństwem. Mimo, że zrobił podróż 1.400 kilometrową, musiał, chcąc nie chcąc, iść na ambonę i w słowie Bożem zaprezentować się ludowi, któremu odrazu przypadł do gustu. Jeśli ludzie się cieszą, to cóż dopiero mam powiedzieć o sobie?

Niewygód i niedostatków tu niemało; nie mamy nawet uczciwego mieszkania, aby się w niem jako tako rozlokować, dlatego żyjemy sobie — niby w seminarjum. Pracownia służy nam za salonik, oratorjum i refektarz, a drugi pokoik za dormitarz. Są jeszcze inne niedogodności, ale to wszystko niczem jest wobec pracy i błogosławieństwa, jakiem już teraz Pan Bóg osładza nam wszystkie z konieczności znoszone umartwienia. Od przyjazdu ks. Porzyckiego wyspowiadało się przeszło 2.000, a spodziewamy się, że do końca okresu wielkanocnego liczba spowiedzi dojdzie do 4.000. Ku naszej radości, wracają do Kościoła tacy, co szereg lat od niego stronili. Sami Brazyljanie temu się dziwią; jedna z rodzin brazylijskich, naprawdę religijna, winszując nam wesołego Alleluja, wyraziła swe uznanie dla nas w słowach: »Opatrzność Boska przysłała tu księży, aby ożywić i odnowić tę parafję w duchu Chrystusa«. Daj to Panie Boże! Skoro Brazyljanie odczuwają to i widzą zmianę na lepsze, to cóż powiedzieć o radościach tej garstki rodaków, która mimo, że zwątpiła już, by parafja tutejsza mogła się odmienić — widząc odrodzenie, nieba przychylićby nam chciała. — Prawda, że praca tu ciężka, mozolna, ale wdzięczna, bo namacalną czujemy opiekę Bożą nad sobą, a myśl, że pracujemy także dla Ojczyzny, osładza nam gorycze i nowego dodaje nam bodźca, by posterunek ten utrzymać dla chwały Tego, który nas właśnie wybrał i dla chwały naszego Zgromadzenia maluczkiego.

San-Matheus. —

Praca rozwija się w Mateuszu coraz więcej; idzie to wprawdzie powoli i ciężko, gdyż przyzwyczajenie i zaniedbanie dwudziestoletnie nie da się tak łatwo usunąć, ale widać, że życie religijne powoli potęguje się. Znać to w coraz liczniejszem uczęszczaniu do Kościoła i w częstszem przyjmowaniu Sakramentów świętych. W pierwszem półroczu mojego pobytu w Mateuszu, mimo nawoływania rozdałem

Komunji św. 1.753, w zeszłym roku liczba to doszła już do 6.000, a w tym roku będzie jeszcze więcej, bo w czterech miesiącach b. r. rozdano Komunji św. 500 więcej, niż zeszłego roku w tym samym przeciągu czasu, chociaż przeszłego roku odbywały się tu misje. Prawda, że do spowiedzi wielkanocnej przystąpiło jeszcze stosunkowo dużo jednoroczniaków tak mężczyzn jak i kobiet, gdyż przyzwyczajenie długoletnie czyni ich ociężałymi, że nie mogą się wybrać, aż przeleci rok cały. Dłuższy czas trzeba będzie popracować nim u Mateuszaków wyrobi się należycie życie religijne.

W ostatnim czasie założyłem szkółkę na kolonji Iguassu i przyłączyłem ją do Związku Szkół Katolickich; do Związku przystąpiło także Bractwo św. Józefa i Dzieci Marji, a prywatnie dosyć dużo osób.

Szkoła Sióstr cieszy się liczną frekwencją; liczba dzieci doszła tego roku do 239. Dla braku sił nauczycielskich a także miejsca, musiano wprowadzić naukę popołudniową. Ta wielka ilość dzieci jest solą w oku nauczycielstwu brazylijskiemu, usiłują więc podporządkować ją wpływom swoim, a przy najnowszych parafjach szkolnych inspektorzy szkolni mają wielką ingerencję — Siostry na serjo muszą się wziąść do tego, by język brazylijski choć na tyle sobie przyswoić, aby jako tako mogły się porozumieć, gdy zajdzie tego potrzeba.

Szpital u nas buduje się, nie będzie to nic wielkiego, ale zawsze sto razy lepszy niż dotychczasowy, zarobaczony, który ks. Wizytator miał szczęście oglądać. Mam nadzieję, że przez szpital Siostry nabiorą więcej miru u tutejszej ludności brazylijskiej. *Ks. Fr. Zdziebło.*

Ivahy Kalmon (Parana).

O swoich ciężkich początkach i pracy na tej kolonji pisze ks. Franciszek Komander w liście (z dnia 7 stycznia 1922) do ks. Wizytatora:

...Początek nie bardzo był zachęcający, bo w domu przez nikogo nie zamieszkałym w przerażający sposób namnożyły się pchły nożne i zaatakowały mnie w straszliwy sposób. Lekceważyłem sobie to i choć butów przywdziać nie mogłem, w pięknych, zielonych pantoflach wybrałem się na objażdżkę obszernej mej włości, a że to była zima mroźna i dżdżysta, więc spuchłe okropnie nogi zaziębiłem. Na każdej nodze potworzyło się 30 do 40 szerokich i głębokich ran, z wielką biedą wróciłem z 4 tyg. trwającej wycieczki i położyłem się na 5 tyg. do łóżka. Wstawałem tylko mszę św. odprawić

a te parę kroków z mej plebanji do kościoła szedłem do 10 minut. Trawiła mię tak silna gorączka, że nieraz majaczyłem.

Po pięciu tygodniach mogłem nareszcie choć z wielką biedą przywdziać buty i wybrałem się do Szeligowskiego *) na kurację. Wstrzykiwał mi przez trzy tygodnie jakieś serum i wróciłem do domu zdrów. Po 2 tygodniach wybrałem się drugi raz na wycieczkę, zwiedziłem już nie tylko polskie kaplice jak w pierwszej wycieczce, ale wszystkie kaplice brazylijskie i domy prywatne, w których Werbiści urządzali nabożeństwa. Wycieczka trwała 6 tygodni. W domu zastałem 2 telegramy wzywające mnie do Prudentopolis, bo tam prawie nagle zjechał ks. biskup na wizytację, a niebawem nadszedł i trzeci telegram: »ks. biskup chce ze mną umówić termin wizyty w mojej parafji«. Pojechałem i tu ku wielkiemu mojemu zdumieniu, oświadczył mi ks. biskup, że za trzy dni jedziemy do Hervalu i dalej. Perswazje nie pomogły i trzeba było jechać. Wizytacje te, bez żadnego przygotowania i bez uprzedniego uwiadomienia, wypadły jeszcze stosunkowo nie źle. Po blizko 3 tygodniowej tułaczce przybyliśmy wreszcie do Kalmonu, skąd po 4 dniach ks. biskup z ks. Bronnym odjechali, a ja wreszcie mogłem nieco spocząć.

Następną wycieczkę zapowiedziałem na grudzień. Gdy jednak ks. Rzymełka doniósł mi, że ks. Porzycki zjeżdża do mnie, odłożyłem wycieczkę do świąt Bożego Narodzenia i tu zrobiłem ludziom zawód, bo w ostatniej chwili ks. Rzymełka doniósł, że ks. Porzycki na razie jeszcze przyjechać nie może, bo ks. Mięsopust nie przyjechał na czas z Ijuhy. Pojechałem na gwałt do Kurytyby, ale nic zmienić się nie dało. Musiałem więc wycieczkę opuścić i zostać w Kalmonie. Dziś po odprawieniu kolędy w Kalmonie jadę na Sao Rogue, a potem do Therezyny i dalej mniej więcej znowu na 6 tygodni. Wycieczki te ogromnie rujnują człowieka, bo jeśli w polskich domach mało się ma wygód, to w brazylijskich odczuwa się dopiero tę tułaczkę. Mógłbym stworzyć kilka pięknych obrazków, gdybym chciał opisywać przygody w podróży, wspaniałe drogi, gdzie koń lgnie w błocie po brzuch, przeprawy przez rzeki, wreszcie jakie potrawy je się rękami i jak się sypia. Ale dzięki Bogu jestem zdrów, w jedzeniu mało wybredny i nie wiele potrzebujący, więc te trudy dość dobrze znoszę, czuję jednak, że nie na długo. Gdy zjedzie ks. Porzycki, to we dwóch damy sobie radę.

*) Lekarz w Kurytybie.

Możnaby wprawdzie tych wycieczek nie urządzać tak często, gdy się jednak słyszy lamenty i narzekania tych ludzi na opuszczenie i gdy się widzi, jak się garną do Sakramentów św., to trzebaby mieć kamienne serce, żeby ich dłużej opuszczać. Wycieczka w Therezynie, w Hervalsinho i na Apukaranie zamienia się na misję. Spowiadać trzeba zawsze blisko do południa, trzeba codziennie mówić kazanie i robota trwa zwykle do pierwszej, drugiej, a jak raz nawet do piątej godziny. Naród wcale nie taki zły, jak go okrzyczeli, a dodać trzeba, że kaplica w Hervansinho i Apukaranie, jakkolwiek jeszcze nie wykończone, wcale do Therezyny i Hervalu nie podobne. Brazyljanie leśni wcale nie zepsuci, mają bardzo dużo dobrej woli i warto nad nimi popracować. Jedno tylko, że tak wśród Polaków jak i wśród Brazyljan z powodu braku zbytu na produkta rolne, panuje wielka bieda i większych ofiar trudno na razie od nich żądać. Jednak do Hervalsinho sprawiłem już trzy ornaty, kielich i puszkę. W Apukaranie znalazł się ofiarodawca na kielich i choć powoli, robota tam postępuje.

W Kalmonie, choć poza czasem choroby do listopada byłem tylko gościem, udało się zrobić bardzo dużo. Kościół już zupełnie wykończony wewnątrz, oszklony i wypłacony. Plebanja się kończy; dałem mianowicie podwójne ściany, ściany wewnętrzne wyheblowałem, sufit pobiłem, okna poprawiłem i oszkliłem, tak, że dom będzie ładniejszy, większy i wygodniejszy aniżeli na Aqua Brance. Nie długo, gdy z drugim księdzem będzie więcej czasu, myślę go wymalować i dać werandę z boku. W tych dniach zacząłem budować stajnię. Gdy się naród dowiedział, że umiem prowadzić muzykę, zebrali się bogatsi Brazyljanie, Polacy a nawet Rusini i sprowadziłem 12 instrumentów. Dotychczas mało miałem czasu puścić to w ruch należycie. Jednak przy wielkim wysiłku na odpust św. Franciszka Ksawerego, wystąpił przygotowany przezemnie chór mieszany z towarzystwem 6 instrumentów. Gaudium narodu nie miało miary. Loterja fantowa wraz z innemi datkami w tym dniu przyniosła 1.200 milrejsów. Również dla Brazyljan urządziłem festę na św. Jana Chrzciciela. Zwyczajem ich, ogni sztucznych i działowych było tyle, że Kalmon drżał w posadach. Loterja wówczas przyniosła to samo. Sprowadziłem nadto ów płot żelazny, o którym mówiliśmy za czasów pobytu ks. wizytatora w Kurytybie; ustawiony na podmurowaniu będzie kosztował 1.400 milrejsów. Organizację wewnętrzną parafji, jak założenie so-

dalicji, bractw, musiałem odłożyć do przyjazdu pomocnika, bo jak dotychczas nie było na to czasu regularnie się tem zająć. Po wypłaceniu długów, co nastąpi, jak mam nadzieję, w czerwcu, trzeba się będzie zabrać natychmiast do szkoły. Urządzenie domu idzie bardzo powoli.

Wyjątek z listu S. Kazimiery Kromolickiej, pracującej wśród robotników polskich we Francji.

Z pewnością Siostra ciekawą jest jakichś wiadomości z Bruay. Otóż, chwała Bogu przyzwyczaiłam się do tutejszej miejscowości i ludności górniczej. Coraz więcej obowiązków wyłania się na mojem polu pracy. Zajęcie w ambulatorjum jest, o ile mi się zdaje, bardzo ważne — gdyż nie tylko przychodzić mogę z pomocą rodakom naszym, pod względem języka, lecz owiązując ranę, przemawiam słówko do serca katolickiego, przypominając, czy to obowiązek wielkanocny, czy też zachowanie kościelnego przykazania, co do niedzieli i t. p. Ogromnie się cieszę, bo w ten sposób złapałam ładną rybkę Panu Jezusowi. Jeden z Polaków, który jeszcze leży u nas w szpitalu, nie był 12 lat u komunji św. Mówię codziennie pacierz po polsku na sali — przy tej sposobności przekonałam się, że ten biedak ani Ojcze nasz, ani Zdrowaś Marjo nie umie. Zabrałam się więc do dzieła, uczyłam go tych fundamentalnych modlitw — a w końcu biedakowi już się nieomal znudziło, bo mi aż ostrą wymówkę zrobił, że musi się uczyć, jak dzieciak! Widocznie szatan chciał pomącić, lecz nie mógł, bo umie już Ojcze nasz i Zdrowaś i w tym tygodniu był u wielkanocnej komunji, pomimo swego uprzedzenia do księży. Sam, poczciwy powiedział po dokonanym akcie, że »to jakoś inaczej«. Dałam mu książeczkę do nabożeństwa, obrazek Najśw. Serca Jezusowego i różaniec. Jest on z Łodzi — tuła się po świecie już od kilkunastu lat. Kiedy z nim się uczyłam, mówił mi, że jeszcze nigdzie, przez tyle lat na obczyżnie, nie naglono go do tej nauki, aż wreszcie we Francji musiał się biedak temu poddać. Dla mnie to pociecha nie lada! Naszych biedaków coraz więcej tu napływa, całe rodziny z Westfalji — cieszą się poczciwi, kiedy do nich polska Siostra się odezwie. Muszę przyznać się Siostrze, że z wdzięczności, iż mnie ś. p. Najprzewielebniejsza Matka tu wezwała, modlę się za nią serdecznie, prosząc nawzajem o modlitwę za siebie i błogosławieństwo w pracy i t. d.

Wspomnienia pośmiertne.

Ś. p. Siostra Augusta Sikorska.

Wizytatorka Prow. Warszawskiej. Zm. dn. 16 czerwca 1919 r. w Domu Centr. w Warszawie, mając wieku lat 85, pow. 65.

Ś. p. Siostra Augusta Sikorska urodziła się w Krotoszynie, w Ks. Poznańskiem, dn. 8 czerwca 1834 r. Ojciec jej był radnym miasta. Zajęty sprawami publicznemi, troskę o gospodarstwo zdał na żonę, ale pilnie dbał o wychowanie dzieci, których miał 15. Mała Augusta 11-ta z rzędu, odznaczała się wśród rodzeństwa bystrością rozumu i wyborną pamięcią. W 13 roku życia skończyła szkołę rządową, w której nabyła dobrej znajomości języków: polskiego, francuskiego i niemieckiego; pragnęła bardzo kształcić się dalej, lecz brak funduszów i miłość dla matki, która potrzebowała jej pomocy w gospodarstwie domowem, sprawiły, że choć nie bez wielkiej przykrości, mężnie jednak zrobiła ofiarę z pragnień swoich i zajęła się pracą domową.

Mając lat 17 przyjechała do Warszawy z ojcem na ślub swej siostry przyrodniej. Tu jedna z jej kuzynek, widząc jej zdolności i bystrość, prosiła rodziców by ją u niej pozostawili, gdyż mając chorego męża, nie mogła sama prowadzić interesu handlowego, chciała więc, by jej w pracy pomagała. Za zgodą więc rodziców pozostała w Warszawie, wolne chwile poświęcając modlitwie i czytaniu książek pobożnych. Do czytania od dzieciństwa miała wielkie zamiłowanie, ono też urobiło jej serce, duszę i umysł. Ulubionym jej autorem

był św. Franciszek Salezy; po przeczytaniu Filotei zapragnęła poświęcić się Bogu, uczyniła ślub dozgonnego dziewictwa i tylko wahała się jeszcze co do wyboru rodziny duchownej wśród której miała Bogu służyć. Słyszała o poświęceniu Sióstr, z jakiem obsługiwały biednych chorych podczas epidemji, uczuła pociąg do tego Zgromadzenia, którego życie czynne odpowiadało jej usposobieniu i zdolnościom,

W pamiętnym dla świata katolickiego roku 1854, uczyniła krok stanowczy; dnia 15 lipca przyszła na Tamkę prosić o przyjęcie. Miłe tu na wszystkich zrobiła wrażenie, a sędziwa Wizytatorka przyjmując ją powiedziała, że życzy jej, aby z cnoty podobną była do tej, której imieniny dziś obchodzono. Była tu mowa o ś. p. Siostrze Henryecie Thierry, ostatniej Wizytatorce, Francuzce, którą Zgromadzenie bardzo kochało i której pamięć długo żyła pomiędzy Siostrami. Ktoby powiedział wtedy, że ta mała seminarzystka zajmie kiedyś w Zgromadzeniu tożsamo stanowisko! Nie zapomniała jednak nigdy tych słów: „Staraj się być do niej podobną", usiłując w czyn je zamienić.

Ukochana Siostra nasza dostała św. suknię 29 stycznia 1855 r. w uroczystość św. Franciszka Salez., który teraz podwójnie był jej drogim: raz, że przez dzieło swoje pociągnął ją do Boga, a powtóre, jako opiekun św. powołania. Po obłóczynach młodą Siostrę Zgromadzenie posłało do szpitala św. Rocha w Warszawie. Powierzono jej tam pralnię, potem chorych i aptekę. W dwa lata później została wziętą do szpitala w Szczebrzeszynie, skąd po roku wraz ze swą służebną przeznaczoną została na nową fundację w Hrubieszowie. Fundacja ta powstała w bardzo trudnych warunkach, nie było stałych funduszów na utrzymanie szpitala. Ofiary napływały bardzo nieregularnie. Chorym zbywało na wszystkiem, tak, że pierwszego chorego, którego do szpitala przywieziono, nie było na czem położyć, za całe posłanie służyła mu garść słomy, na której go przywieziono. Biedna Siostra Służebna głowę traciła, nie mogąc tym brakom zaradzić pomimo poświęcenia i pracy swych towarzyszek, aż

po roku dano jej inne przeznaczenie, a niedługo potem i Siostra Sikorska wezwaną została do Domu Centr. celem przygotowania się do ślubów św., które złożyła 8 grudnia 1859 r. wraz z dwudziestu młodemi Siostrami, które już od trzech lat czekały na tę łaskę. Zgromadzenie bowiem znajdowało się wówczas w krytycznem położeniu w prowincji warszawskiej: od rewolucji francuskiej trudno było Siostrom nawiązać stosunki regularne z Przełożonymi wyższymi w Paryżu; nominacja Siostry Szwarc na Wizytatorkę, miała koniec położyć tej przykrej sytuacji. Pierwszym aktem Czcigodnej tej Siostry był wybór nowej dyrektorki Seminarjum. Wybór ten padł na Siostrę Augustę, która mając wtedy 26 lat wieku a 6 powołania, dla swoich wielkich przymiotów okazała się najzupełniej odpowiednią. Po 5-miesięcznym pobycie w domu Macierzystym dla przygotowania się do urzędu, wróciła do Warszawy, by tu do śmierci pozostać. Ponieważ posiadała zupełne zaufanie swej Wizytatorki, mogła swobodnie zaprowadzać w Domu Centralnym potrzebne ulepszenia i zmiany, wzorując się, o ile to było możliwem, na zwyczajach domu Macierzystego. Czyniła zaś to tak umiejętnie, że nikt prawie nie odczuł stąd przykrości, a przez swój takt i wielką miłość pozyskała wszystkie serca.

Taką to wybraną duszę dała Opatrzność Siostrze Szwarc do pomocy w zarządzie prowincją w czasach bardzo ciężkich, gdy przez kasatę Zakonów w Polsce Kongresowej Zgromadzenie zostało pozbawione dyrekcji XX. Misjonarzy, a i samo Zgrom. Sióstr było zachwiane w swem istnieniu. Miłosierdzie Boże jednak przez wzgląd na nieszczęśliwych ubogich zachowało Siostry od rozproszenia. Rząd, który kasował klasztory i konfiskował ich majątki, pozwolił otworzyć Seminarjum przez 3 lata zamknięte, a nawet powierzał Siostrom nowe domy.

Siostra Augusta spełniając obowiązki dyrektorki Semin. musiała jeszcze przyjąć urząd sekretarki, który bardzo gorliwie i starannie wypełniała.

W roku 1874, po śmierci ks. Etienne, posłaną została do Paryża, by nowoobranemu Ojcu Boré złożyć hołd całej Prowincji i przedstawić jej potrzeby i trudności. A kiedy w trzy lata potem oboje Najprzew. Przełożeni: Ojciec Boré i Matka Lequette udali się do Krakowa, nieustraszona Siostra Augusta raz jeszcze przebyła granicę, ażeby w imieniu Siostry Wizytatorki powitać drogich i upragnionych gości na ziemi polskiej.

Zaledwie wróciła z tej wycieczki, wybuchła wojna między Turcją i Rosją. Rząd prosił o Siostry do pielęgnowania rannych w pociągach sanitarnych. Żądaniu temu nie można było odmówić. Zorganizowanie tej wyprawy znów przypadło w udziale Siostrze Auguście, która obok tych wszystkich zajęć z gorliwością spełniała swój urząd dyrektorki.

Instrukcje jej gruntowne, oparte na naukach św. Wincentego, przysposabiały Siostry do dobrego spełniania obowiązków powołania i przez długie lata ich wpływ zbawienny dawał się odczuwać w całej prowincji. Ten nadmiar prac różnorodnych nadwerężył bardzo jej zdrowie, gorliwości jednak zmniejszyć nie potrafił i oto znowu w 1891 r. nie oglądając się na siebie i swoje zdrowie, udaje się do Paryża w celu uregulowania z Przełożonymi ważnych spraw prowincji. Udało się jej dostać przepustkę za granicę na dwa tygodnie z powodu depeszy od umierającej matki. Parę godzin tylko zabawiwszy w mieście rodzinnem, spieszyła do stóp Najprzew. Ojca Fiat, szczęśliwa, że może dać Zgromadzeniu jeden więcej dowód swego poświęcenia. Podróż ta była dziwnem zrządzeniem Opatrzności. W kilka miesięcy potem umarła Siostra asystentka prow. warszaw. Przełożeni jeneralni znając już i ceniąc Siostrę Augustę mianowali ją na ten urząd, ku ogólnemu zadowoleniu wszystkich.

W trzy lata później, po śmierci Czcig. Siostry Joanny Szwarc, oczy wszystkich zwrócone były na Siostrę Augustę, w której widziano godną następczynią po zmarłej wizytatorce. Z wielką prostotą przyjęła nowy urząd, widząc w tem okazję do nowego poświęcenia. Nie zaniedbała natychmiast

przesłać Najprzew. Przełożonym słów pokornego poddania się ich woli i zapewnienia dziecięcej uległości całej prowincji. A jednak był to dla niej krzyż ciężki: miała już lat sześćdziesiąt i niezmiernie delikatne zdrowie.

Mimo to umysł jej przenikliwy, niezwykłą obdarzony roztropnością i rozwagą, o poglądach szerokich a jasnych, objął odrazu rozległe obowiązki. Za jej poprzedniczki liczba domów pomimo ucisku, z 16 wzrosła była do 30; pod jej administracją do przeszło 90 się podniosła. Sióstr zaś jako Wizytatorka zastała 300, a po 25 latach zostawiła ich przeszło 700. Taki wzrost prowincji wymagał nowych planów administracji ogólnej. Przedstawiła swe projekty Przełożonym jeneralnym, a uzyskawszy ich zgodę, z odwagą zabrała się do dzieła. Rozszerzyła dom dobudowując i wznosząc nową kamienicę, kaplicę powiększyła a w tych wszystkich przedsięwzięciach kierowała się zawsze duchem prostoty i ubóstwa, dbając o praktyczność i wygodę ale nie znosząc zbytku.

Mimo swej łagodności i wyrozumiałości umiała jednak wystąpić energicznie, kiedy obowiązek tego wymagał, szczerze i śmiało wypowiadała swoje zdanie nawet wobec osobistości wysoko postawionych.

Zalecenia, które dawała Siostrom Służebnym, dyktowane były mądrością i roztropnością, jakie św. Wincenty pragnął widzieć w tych, które przewodniczą innym. Utrzymywała dobrego ducha i ofiarne poświęcenie pomiędzy Siostrami. Prowincja rozwijała się szybko, nowe domy otwierały się jak kwiaty pod promieniami słonecznemi i wielu Rosjan nawet, wysokie zajmujących stanowiska, nie wahało się okazywać Siostrom sympatji i głośno wypowiadać swego uznania dla Zgromadzenia.

Przełożeni wyżsi również zadowolenia swego nie kryli widząc na czele tej części rodziny św. Wincentego Siostrę, na której przywiązanie mogli liczyć z całą pewnością; to też kiedy 16 lipca 1904 r. obchodziła pięćdziesiątą rocznicę swego powołania, miło im było łączyć swe życzenia i modlitwy z temi, jakie Siostry całej Prowincji ofiarowały Czci-

godnej Jubilatce, która je prawie wszystkie wychowała. Na schyłku jednak dni swoich smutne przeżywała chwile. Wojna wszechświatowa, która za jeden z teatrów swoich miała naszą biedną Polskę, utrudniała niezmiernie wszelkie stosunki z Przełożonymi wyższymi a również i z domami prowincji. Całe długie miesiące o niektórych domach i Siostrach w nich mieszkających żadnej nie miała wiadomości, a potem gdy wieść jaka doszła, to była smutną, więc zamiast pocieszyć, raniła tylko jej kochające, macierzyńskie serce. Nadmiar pracy i coraz cięższe warunki egzystencji wyczerpywały zdrowie i siły jej córek. Przywożono niekiedy do Domu Centr. Siostry chore, nie było kim ich zastąpić. Sprawiało jej to wiele boleści. Innym powodem udręczenia dla tej dobrej Córki Miłosierdzia było to, że na bezustanne żądania Sióstr do nowych zakładów, odmowną dawać musiała odpowiedź. Następstwa wojny z dnia na dzień zwiększały szeregi nieszczęśliwych ofiar, które nie mając znikąd pomocy, wystawiane były na straszną nędzę; a Ona dla braku Sióstr, doli ich ulżyć nie mogła, a wszak i dla niej, jak dla św. Wincentego, cierpienia biedaków, były największym ciężarem.

Oswobodzenie zupełne Polski miało jednakże zajaśnieć jak piękna jutrzenka po tych ciemnościach grobowych Najmilszą pociechą dla niej była możność zawiązania na nowo korespondencji z Domem Macierzystym. Wielkiej bowiem doznawała zawsze ulgi mogąc Przełożonym przedstawiać ważniejsze sprawy prowincji do rozstrzygnięcia, a tem samem sobie ująć ciężaru i odpowiedzialności; to też każdy list z Domu Macierzystego przyjmowała z żywą wdzięcznością. Wiadomość o dekrecie stwierdzającym prawdziwość cudów, przez przyczynę bł. Matki naszej zdziałanych, wreszcie powrót relikwji św. Wincentego po 12 letnim pobycie w Belgji, niewymowną napełniły ją radością, ale list, w którym Najprzewielebniejsza Matka donosiła o podróży swojej do Rzymu na publiczne ogłoszenie dekretu o beatyfikacji, już jej nie zastał na ziemi. Dnia 16 czerwca 1919 r. piękna jej dusza opuszczała padoł płaczu, aby usłyszeć wezwanie Bo-

skiego Mistrza: „Pójdź oblubienico moja, która wytrwałaś wiernie wśród prac i ucisków; pójdź, będziesz ukoronowana“.

W trzy dni potem, orszak pogrzebowy ruszył przez ulice miasta ku Powązkom, prowadził go Biskup-Sufragan z klerem. Sióstr pół tysiąca liczono. Towarzyszyła im Warszawa, odczuwając ich smutek i ból, zwłaszcza, że wielka rzesza sierot była z niemi.

Ś. p. Józef Świętek.

Kleryk.

Urodzony 12 lutego 1892, zmarł 19 czerwca 1918 r.

Pochodził z Orzegowa, z Górnego Śląska. Studja gimnazjalne rozpoczął w Bytomiu — a w r. 1908 wstąpił do Małego Seminarjum, do kl. III. W krótkim czasie zżył się ze swem nowem otoczeniem tak, jak gdyby nie od paru dni, ale od lat w niem przebywał. W klasie swej stał się odrazu jakby nieodzowną figurą i naprawdę jej charakterystyczną jednostką. Do przełożonych i kolegów przywiązał się serdecznie — a przywiązanie to, rozwinięte później w przywiązanie do Zgromadzenia i ukochania swego powołania: to nieprzerwana złota nić, co opromienia i ogrzewa mu całe życie i co z tego niedługiego życia pozostanie długą nauką i wzorem.

Gdy wyjeżdżał na pierwsze wakacje, to z żalem oglądał się na mury zakładowe, z żalem żegnał przełożonych i kolegów; obiecywał pamiętać — i pamiętał, pisywał do przełożonych i kolegów, szczerze do jednych jak i drugich. Z radością wracał z wakacji, bo w zakładzie czuł się jak w rodzinie.

W r. 1910 przeszedł na Kleparz do seminarjum, z ochotą i wesołością; bo z natury skłonny był do pogodnej, szczerej wesołości. Na wstępie swego seminarjum zaraz stropił się, że nie umiał raz swej wesołości pohamować. Ale że to natura była prosta, szczera i pokorna, więc i takie przypadki były mu tylko okazją i pomocą do rozwinięcia swych na-

turalnych cnót: prostoty i pokory. Mając taki żyzny naturalny podkład ducha misjonarskiego, cnót misjonarskich, w seminarjum cnoty te pogłębiał i uszlachetniał — a to z tem większym zapałem, że jak wspomniano wyżej, serdeczne do Zgromadzenia miał przywiązanie. I jak na dłoni widać było jego proste, pokorne, a przywiązane serce, gdy czasem, strapiony, żalił się: „Słuchaj Konfratrze! ja się boję, bo to ani zdolny nie jestem, choć się uczę, nie zawsze idzie mi to do głowy, jak innym... a przytem te moje figle... nieraz niechcący coś powiem, coś zrobię... Konfratrzy się ujmują, ale ks. Dyrektor niekontent... nieraz upomina... żeby mnie tylko co złego nie spotkało... ale będę starał się poprawić". I rzetelnie się starał, bo z czasem i ks. Dyrektor przestał być niekontent i obawy ś. p. Józefa zmniejszyły się, a wreszcie zupełnie znikły. Z radością składał dnia 6 października 1912 śluby św., ciesząc się, że będzie misjonarzem już do śmierci. Zastanowiły go dziwne słowa Przew. ks. Wizytatora, który rozdając nam krzyże ślubne, przypomniał nam, że krzyż ten do trumny nam kiedyś włożą. Wspomnienie śmierci, trumny, uderzyło go; gdyśmy wyszli, mówił: „przecież to chyba nie tak prędko przyjdzie umierać?" Jakoby przeczuwał, że on pierwszy z gromadki w trumnie spocznie, i że na nim pierwszym spełnią się słowa Przew. ks. Wizytatora. Ale narazie zapomniał o tem, i zabrał się gorliwie do pracy i w dwóch ostatnich latach gimnazjalnych prześcignął innych pilnością tak, że mimo niewielkich zdolności, nie wszystkim ustępował w postępach. Ponieważ w r. 1912 przenieśliśmy się z Kleparza na Stradom, konfratrów było więcej i nowi. I zauważyć było można, jak i jego serce rozszerzało się. Z wszystkimi się chętnie zapoznawał i wszystkich swymi zaletami sobie jednał. Choć początkowo nieśmiały, gdy się zapoznał, wszystkich, starszych i młodszych, bawił. Pogodny duch jego znajdował w życiu wspólnem słodką radość na łonie Zgromadzenia. Tak spokojnie i miło płynęło mu życie aż do wybuchu wojny. W sierpniu 1914 r. stawił się wraz z innymi do służby

wojskowej. Nie zaciągnięto go jednak odrazu; wrócił jeszcze na Stradom i rozpoczął teologję. Ale zaraz z początku r. 1915 powołano go do służby; z wiosną wysłano do Poznania i dano zajęcie w wojskowym zakładzie badania krwi końskiej (Bluntersuchungsstelle). Nowe a trudne otoczenie, tu a później gdzieindziej, z łatwością sobie zjednał, a zjednał, jak zawsze, przez swą dobroć, uprzejmość, usłużność i pracowitość. Nienajgorzej mu było w służbie, ale ciężko w duszy, bo jak pisał, ciążyła mu rozłąka ze Zgromadzeniem. Narazie, w Poznaniu, miał tę rozłąkę dosyć znośną. Poznań był w czasie wojny dla wielu, wielu misjonarzy jakby miejscem postoju i wytchnienia; gdy jedni wyjeżdżali, to drudzy tu przyjeżdżali, znajdując ciepłą gościnę u Czcigodnych Sióstr Miłosierdzia, namacalnie odczuwając siostrzeństwo rodzinne w wielkiej rodzinie św. Wincentego. Ś. p. Zmarły mógł więc zawsze z kimś ze swoich porozmawiać; sam w tem ulgi szukał, a jednocześnie i innych pocieszał wspomnieniem Stradomia, Krakowa, Zgromadzenia. Nietylko tem, lecz i wskazaniem na zasługę z cierpienia, nagrodę w życiu przyszłem. Sam też, jak się konfratrowi spotkanemu zwierzył, coraz więcej i goręcej się modlił, Matce Najśw. ufał, grosz zaoszczędzony na msze św. dawał, nawet do Ostrej Bramy na msze św. posyłał.

Jesienią r. 1915 przeniesiono zakład, w którym ś. p. Zmarły pracował, do Białegostoku. Odczuł to bardzo — ale i pociechy doznał — bo mógł na parę dni zajrzeć do Krakowa. Jak dziękował za to Bogu, jak się cieszył konfratrami! A wróciwszy do Białegostoku, pisał do konfratra: „Życzę ci tego szczęścia, że od czasu do czasu możesz widzieć się z tym lub z owym ze Zgromadzenia. Podobnie i ja się miałem w Poznaniu; tu nikogo nie zobaczę; tęsknię, nostalgia dręczy mnie, jak owego latarnika gdzieś tam, kiedyś tam. Co słychać z Krakowa? Napisz, opisz wszystko, nawet najmniejsze źdźebełko!“ Tak mu tęskno za Zgromadzeniem — tymczasem chętnie przebywa w towarzystwie tamtejszych księży i niejedną im, jak i innym ludziom, oddaje przy-

sługę — za co później wpada w podejrzenie u władz wojskowych i na proces się naraża. Wpierw jednak naraził się na chorobę płuc. Na wiosnę 1916 r. odesłano go do szpitala do Berlina. Tu gwałtowny krwotok o mało co nie przeciął pasma jego życia. Nazajutrz po tem pisze list — swe niebezpieczeństwo opisuje z takim spokojem, pogodą i humorem nawet, że słusznie wspomniał ktoś: „struna bohaterstwa odezwała się w tej niepozornej a bogatej duszy". Dzięki staraniom ks. Jęczmionki przewieziono go w maju 1916 r. do Poznania, pod opiekę Czcigodnych Sióstr Miłosierdzia. Pod troskliwą opieką Siostry Apolonji Czarnowskiej choroba zelżała — czuł się jak w niebie. Latem 1917 r. przeniósł się na Łączny Młyn, folwark siostrzeński pod Poznaniem. Tu zetknął się z sufraganem poznańskim, ś. p. ks. biskupem Jedzinkiem i uprosił sobie u niego, że za pozwoleniem przełożonych z Krakowa, udzielił mu minores. Droga do kapłaństwa zdawała się być otwarta. Radosny swój nastrój od młodości zwykł był objawiać w śpiewie, do którego zawsze miał zamiłowanie. Ten piękny rys duszy i w tym okresie pokazał, planując zebranie i wydanie pieśni śląskich, których wiele znał. Wyrywał się na Stradom, i gdy trochę się wzmocnił na siłach, przybył w styczniu 1918 do Krakowa. Zaszkodziła mu podróż, ale radość z powrotu do Zgromadzenia pokryła to. Zabrał się do nauki, byle tylko osiągnąć kapłaństwo. O niem marzył, o niem mówił.

W lutym zmarł ś. p. ks. Kiedrowski, którego ś. p. Józef od pierwszej chwili zetknięcia się z nim szczególnie cenił i kochał. Zapragnął więc być na jego pogrzebie; asystował na mszy św. i w eksportacji na cmentarz. Po pogrzebie — zaziębiwszy się — położył się i już nie wstał. Gdy zrozumiał, że niedobrze, tembardziej pragnął święceń i prosił o nie — ale choroba wzmagała się — wywieziono go do szpitala św. Łazarza, jeszcze się łudził, nawet miał żal do przełożonych, że święcenia odkładają, przecież on dosyć silny, do kaplicy mógłby wstać — a Najprzew. ks. biskup Nowak taki łaskaw, że się pofatyguje i święceń udzieli, bo

jak on stanie na drugim świecie — ani świecki, ani ksiądz. Tymczasem choroba wzrastała, aż wreszcie na dwa tygodnie przed śmiercią sam zrozumiał, że na wszystko zapózno. „Już się wybieram" — powiedział — dziwnie jasno zdawał sobie sprawę ze swego stanu, z rezygnacją ukorzył się przed wolą Bożą, szczerze przepraszał za swój żal do ludzi, za swą niecierpliwość w dążeniu do kapłaństwa. Sumiennie i gorliwie przygotował się na śmierć — czekał na nią spokojnie — odnawiał śluby św., krzyż ślubny ściskał w dłoni, pomny na słowa Przew. ks. Wizytatora ongiś wyrzeczone.

Cierpiał bardzo, ale cicho, aż 19 czerwca 1918 r. śmierć zamknęła mu oczy. Szkoda tego młodego życia, które zapowiadało się być dobrą cegiełką Zgromadzenia, nie przez wybitne zdolności umysłu, ale przez zalety serca i charakteru.

X. M. W.

W Redakcji „Roczników" są do nabycia, póki zapas starczy:

1) **Konferencje i przestrogi św. Wincentego.** (Tłómaczenie z francuskiego). Kraków 1909.

2) **Wyjątki z okólników Przełożonych Generalnych,** odnoszące się do najważniejszych obowiązków Księży Misjonarzy. (Tłómaczenie z francuskiego). Kraków 1909.

3) **Rozmyślania Zgromadzenia Księży Misjonarzy.** Dwa tomy. (Tłómaczenie z francuskiego). Kraków 1912.

4) **Historja Zgromadzenia Księży Misjonarzy w Polsce.** (Pierwszych lat dziesięć od r. 1651 — 1660). Napisał ks. Dr. Wojciech Wdowicki, kapłan Zgromadzenia Misjonarzy. Kraków 1902.

5) **Kilka szczegółów historycznych o Seminarjum Internum,** opowiedzianych z okazji jubileuszu, obchodzonego dnia 17 sierpnia 1907 r. Kraków 1907.

6) **Kościół Księży Misjonarzy pod wezwaniem św. Wincentego a Paulo w Krakowie, na Kleparzu.** Kraków 1913.

7) **Ks. Józef Kiedrowski,** Wizytator Zgromadzenia Księży Misjonarzy. Napisał ks. Cz. Lewandowski. Kraków 1921

8) **Ks. Stanisław Grabowski,** artysta - malarz. Napisał ks. M. Wroński. Kraków 1921.

9) **Spis Domów i Osób prow. Polsk.** (z dnia 1 grudnia 1921)

(Numery od 4 do 9 są odbitkami z „Roczników".